

MAGAZYN

• Polskie samoloty poderwane z powodu aktywności Rosji. STR. 9



**BORYS SZYĆ: JAKBY MNIE
NAPRAWDĘ URATOWALI
Z TONĄCEGO STATKU**

STR. 16-17

• Sebastian Wiślicki rozmawia z rodzinami pacjentów, od których lekarze mają pobrać narządy do transplantacji. STR. 14

EXPRESS

ilustrowany



**CZEGO BOI SIĘ
KORONAWIRUS**

• Co jeść, żeby nie zachorować?

STR. 15

**WE WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH I W ZADUSZKI, 2 LISTOPADA,
W WIELU MIEJSCACH ZMIENI SIĘ ORGANIZACJA RUCHU**

STR. 4



**WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH
- JAK DOTRZEĆ NA CMENTARZE?**

FOT. KRZYSZTOF SZYMCAK

**CO DALEJ
Z TUNELEM
POD ŁÓDZIĄ?**

STR. 7



KOLEJ

FOT. GRZEGORZ GAŁAŚIŃSKI

SPOŁECZEŃSTWO



**SURVIVAL,
CZYLI BOOM NA
PRZETRWANIE**

STR. 12

FOT. ROBERT WOŹNIAK



**ANNA MATUSIAK:
ZAMIATAMY ŚMIERĆ
POD DYWAN, DLATEGO
NIE POTRAFIMY
SPOKOJNIE ŻYĆ**

STR. 20-21



MUZYKA



**WIRTUOZ FORTEPIANU
I MATEMATYK**

STR. 22

LUDZIE



**ŻYCIE PO SPORTOWEJ
KARIERZE**

STR. 11

EXPRESSOWO

ŁÓDZKIE Panie dyrektorki, fikcyjni uczniowie i wyłudzone miliony. Afera w oświacie. Policjanci zatrzymali kilkanaście dyrektorek szkół prywatnych, które na wielką skalę wyłudzały dotacje z kasy miast i gmin. Zdaniem śledczych, zatrzymane dyrektorki działały w zorganizowanej grupie przestępczej. Grożą im surowe kary.

Policjanci uderzyli jednocześnie we wtorek, 29 października, na terenie 10 województw: łódzkiego, wielkopolskiego, małopolskiego, dolnośląskiego, lubuskiego, mazowieckiego, śląskiego, zachodniopomorskiego, pomorskiego oraz na Podlasiu. Zatrzymali 13 dyrektorek, zaś jedna sama zgłosiła się do prokuratury. Zatrzymane kobiety mają od 30 do 70 lat. Kierowały szkołami niepublicznymi. Chodzi o licea ogólnokształcące, szkoły podstawowe, gimnazja dla dorosłych, a także szkoły policealne. Ich proceder polegał na tym, że wyłudzały dotacje od samorządów w oparciu o sfabrykowane dokumenty zawyżające liczbę uczniów oraz słuchaczy. Okazało się, że były to osoby zmarłe, fikcyjne lub od wielu lat przebywające poza granicami Polski. Jak nas poinformował Krzysztof Kopania, rzecznik prasowy Prokuratury Regionalnej w Łodzi, która prowadzi śledztwo w tej bulwersującej sprawie, dyrektorki wyłudziły w sumie prawie 40 mln zł. Zatrzymanym grozi do 15 lat pozbawienia wolności.

Prokurator zastosował wobec wszystkich dozory policyjne, poręczenia majątkowe oraz zakaz opuszczania kraju – uzupełnia nadkomisarz Aneta Sobieraj,

rzeczniczka prasowa Komendy Wojewódzkiej Policji w Łodzi. (WP)

ZGIERZ Kryminalna rodzinka w końcu trafiła za kraty. Policjanci zatrzymali matkę i syna, którzy byli poszukiwani przez wymiar sprawiedliwości w celu odbycia kary więzienia. Kryminalna rodzinka błyskawicznie trafiła za kraty.

Najpierw wpadł syn, a tuż po nim matka. Była to akcja stróżów prawa Wydziału Kryminalnego Komendy Powiatowej Policji w Zgierzu, którzy przyznają, że rzadko zdarza się, aby było ściganych kilku członków rodziny. Stróże prawa drogą operacyjną ustalili, że poszukiwany 19-latek przebywa w rejonie ulicy Spacerowej w centrum Zgierza. Pojechali pod wytypowany adres i podjęli dyskretną obserwację. Wkrótce dostrzegli 19-latkę, który był poszukiwany dla odbycia kary roku więzienia za znęcanie się nad młodszymi od siebie chłopakami. Został zatrzymany. Był zaskoczony, ale nie stawiał oporu.

Kiedy policjanci transportowali 19-latkę do radiowozu strażnicy, że obok niego stoi kobieta, która przygląda się całemu zdarzeniu. Stróże prawa szybko rozpoznali w niej matkę 19-latkę, która również była poszukiwana dla odbycia kary łącznej 10 miesięcy pozbawienia wolności za oszustwa – informuje sierżant sztabowy Bartłomiej Arcimowicz, rzecznik prasowy Komendy Powiatowej Policji w Zgierzu. Matka z synem trafili do zakładów karnych w Łodzi. (WP)

Coraz więcej wniosków o ekshumację bliskich

164 łodzian złożyło w tym roku (do 30 września) do Powiatowej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Łodzi wniosek o ekshumację zmarłych członków rodziny.

Liliana Bogusiak-Jóźwiak

W województwie (dane do 15 kwietnia br.) takie pisma złożyło 293 mieszkańców. W całym ubiegłym roku takich wniosków wpłynęło w Łodzi - 231, a w województwie - 777. Mieszkańcy naszego regionu przenoszą szczątki bliskich na jeden cmentarz, aby ułatwić życie sobie i potencjalnym spadkobiercom.

80-letni mieszkaniec Retkini podjął decyzję o ekshumacji szczątków siostry i mamy, które przed laty spoczęły na cmentarzu na Dołach. Teraz obie zmarłe pochowane są na cmentarzu na Rudzie - tam, gdzie spocznie kiedyś on.

Gdy 20 lat temu zmarła moja siostra, pochowałem ją na cmentarzu na Dołach - opowiada nam mieszkaniec Retkini. - Tłumaczyłem sobie, że choć to daleko od domu, to przecież będę odwiedzał jej grób jeżdżąc na działkę przy ul. Zjazdowej. W tym samym grobie spoczęła 10 lat później moja mama. Pomyślałem, że po mojej śmierci, a mam być pochowany na cmentarzu na Rudzie, tak jak moja żona i jej rodzina, nikt nie



będzie odwiedzał grobu mojej mamy i siostry. Gdy wszyscy będziemy spoczywali na jednym cmentarzu, to rodzinie będzie łatwiej o te groby zadbać.

Jak opowiada nam łodzianin, ekshumacja zaczęła się wcześniej rano, a pracownik inspekcji sanitarnej widząc jego emocje zasugerował, aby odszedł od grobu. Tak też się stało.

Ekshumacje i złożenie do grobu na cmentarzu na Rudzie szczątków siostry i trumny mamy kosztowało ponad 10 tys. zł. Za złożenie wniosków w inspekcji sanitarnej nie ponosi się opłat, ale płaci się w firmie pogrzebowej wykonującej ekshumację, wnoszą się opłaty w kancelarii cmentarza, a także kamieniarzowi za rozłożenie,

przewiezienie i złożenie pomnika - dzieli się swoim doświadczeniem mieszkaniec Retkini.

Jak mówi łodzianin, teraz jego rodzina przychodząc na groby bliskich, gdy jego już nie będzie, zapali świeczkę nie tylko na jego grobie, ale też jego siostry i mamy.

Mieszkańcy naszego regionu coraz częściej składają wnioski o ekshumację. O ile na początku lat dwutysięcznych były to sporadyczne przypadki, to już w 2007 w Łodzi złożono 87 takich wniosków. W kolejnych latach było ich więcej - w 2021 roku do Powiatowej Stacji Sanitarnej-Epidemiologicznej w Łodzi z takim pismem wystąpiło 198 łodzian, a rok później - 208.

W 2024 r. - 291, a w tym do 30 września - 164.

Ekshumację zwłok i szczątków ludzkich wykonuje się na umotywowaną prośbę osób uprawnionych do pochowania zwłok (małżonek, krewni zstępni, krewni wstępni, krewni boczni do 4. stopnia pokrewieństwa, powinowaci w linii prostej do 1. stopnia) po wydaniu zezwolenia przez właściwego inspektora sanitarnego.

Ekshumację przeprowadza się we wczesnych godzinach rannych w okresie od 16 października do 15 kwietnia - wyjaśnia Zbigniew Solarz, rzecznik Wojewódzkiej Stacji Sanitarnej-Epidemiologicznej w Łodzi. - O zaplanowanej ekshumacji zawiadamiany jest właściwy powiatowy lub portowy inspektor sanitarny.

Sposób postępowania przy wydawaniu zezwoleń na przeprowadzenie ekshumacji zwłok i szczątków ludzkich regulują przepisy ustawy z 31 stycznia 1959 r. o cmentarzach i chowaniu zmarłych (DZ. U. z 2024 r. poz. 576) oraz rozporządzenia Ministra Zdrowia z dnia 7 grudnia 2001 r. w sprawie postępowania ze zwłokami i szczątkami ludzkimi (Dz. U. z 2021 r. poz. 1910).

Naszemu Koledze
Krzysztofowi Szymczakowi
oraz
Rodzinie i Najbliższym

wyrazy szczerzego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składają

Zarząd, Koleżanki i Koledzy
z redakcji
„Dziennika Łódzkiego” i „Expressu Ilustrowanego”

REKLAMA 0011283570

Łódź, ul. Inflancka 52, www.kmmokno.pl
tel. 42 659 99 77, 604 976 009

OKNA z PCV oraz ALU
żaluzje • rolety • plisy

KMM OKNO
FABRYKA OKIEN

KBE **Roto** **GLASSOLUTIONS**

EKSKLUZYWNE ORAZ TANIE

Temperatura w Łodzi
dzień **11°C**
noc **2°C**
Zachmurzenie duże, dość silny wiatr. Raczej bez opadów.

Pogoda w Polsce

Pogoda dla Łodzi na trzy dni

Sobota
dzień **16°C**
noc **10°C**

Niedziela
dzień **15°C**
noc **9°C**

Poniedziałek
dzień **10°C**
noc **3°C**

Dzisiaj w Europie

Ateny	21°C	Paryż	15°C
Berlin	12°C	Praga	12°C
Bruksela	15°C	Rzym	21°C
Dublin	13°C	Sztokholm	7°C
Helsinki	8°C	Wiedeń	15°C
Londyn	15°C	Wilno	9°C
Madryt	15°C	Zagrzeb	19°C

Warunki biometeo
TAKIE SOBIE

EXPRESS **ilustrowany**

www.expressilustrowany.pl
e-mail: express@express.lodz.pl

REDAKCJA 90-532 Łódź, ul. ks. I. Skorupki 17/19
Redaktor naczelny Marek Krzciuk
Sekretariat 42 66 59 300
BIURO REKLAMY Polska Press Sp. z o.o. Oddział Biuro Reklamy w Warszawie Filia Łódź, ul. ks. I. Skorupki 17/19, 90-532 Łódź, tel. 6659-400.

Ogłoszenia na telefon
0-800 47-28-52. Adresy i telefony biur ogłoszeń na stronach ogłoszeniowych
WYDAWCA Polska Press Sp. z o.o.
Warszawa 02-672, ul. Domaniewska 45

Prezes Zarządu Polska Press Grupy Zenon Nowak
Prezes Makroregionu Aneta Sarga-Burtan
Dyrektor sprzedaży makroregionu Anna Gałuszka
Kierownik Zespołu Sprzedaży oddział Łódź Katarzyna Michalak

Projekt graficzny Tomasz Bocheński
Biuro Prasowe: biuroprasowe@polskapress.pl
Biuro Konsumenta PPG,
e-mail: biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10
DRUK Drukarnia ZPR Media S.A.,
04-190 Warszawa, ul. Jubilerska 10

Polska Press GRUPA

Prenumerata z dostawą do domu:
bok.prenumerata@polskapress.pl, tel. 42 715 80 68
Garmond: prenumerata dla klientów indywidualnych prenumeratapy@poczta.pl, tel. 12 422 14 85;
dla firm i instytucji: prenumeratapy@garmondpress.pl
Kolporter: prenumerata wyłącznie dla firm i instytucji www.prenumerata.kolporter.com.pl, tel. 41 367 88 88;
Poczta Polska: www.prenumerata.poczta-polska.pl, lub w najbliższym urzędzie pocztowym.

©/® - umieszczenie takich dwóch znaków przy artykule, w szczególności przy aktualnym artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie <http://www.expressilustrowany.pl/tresci> i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

Finansowe wsparcie dla polskich pszczelarzy

W Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa ruszyła właśnie czwarta edycja programu pomocy dla polskich pszczelarzy, który finansowany jest z Planu Strategicznego dla Wspólnej Polityki Rolnej na lata 2023-2027. Nabór wniosków potrwa do 28 listopada 2025 r.

Pszczelarstwo jest jednym z najstarszych zajęć człowieka. Początkowo korzyści z chowu pszczoł upatrywano w możliwości pozyskiwania większej ilości miodu. Musiały minąć wieki, by ludzkość zdała sobie sprawę, że niezastąpioną rolę tych małych owadów jest zapylanie roślin, że dzięki ich pożytecznej pracy rosną plony zbóż, a drzewa i rośliny uprawne wydają owoce i nasiona, co bezpośrednio wpływa na łańcuchy pokarmowe i produkcję rolniczą.

W Polsce owady zapylające, wśród których 90 proc. stanowią pszczoły, odpowiadają za zapylanie około 80 proc. roślin. Z danych Najwyższej Izby Kontroli wynika, że korzyści z zapylania roślin uprawnych przez pszczoły szacowane są w naszym kraju na kwotę od 4,1 do 7,4 mld zł rocznie. Z kolei wartość tego wkładu pracy dla całej Unii Europejskiej określana jest, według informacji Komisji Europejskiej z 2024 r., na poziomie około 15 mld euro. Według danych Inspekcji Weterynaryjnej w Polsce w 2024 r. było 99 tys. pszczelarzy, co oznacza wzrost o 2,4 proc.

w porównaniu do 2023 r. i o 96 proc. w stosunku do roku 2011. Średniej wielkości gospodarstwo pasieczne w kraju w 2024 r. posiadało ponad 24 rodziny pszczele. Systematycznie zwiększająca się liczba pszczelarzy i pni pszczelich to dowód na duży potencjał sektora pszczelarstwa w Polsce. Jednym z decydujących czynników w rozwoju tej branży są unijne programy pomocowe. Podobnie jak inne sektory polskiego rolnictwa, po 1 maja 2004 r. pszczelarstwo zostało objęte narzędziami wsparcia dostępnymi w ramach Wspólnej Polityki Rolnej, w tym działającym od 1997 r. w Unii Europejskiej mechanizmem „Wsparcie rynku produktów pszczelich”.



FOT. ADOBE STOCK

Na jego bazie państwa zainteresowane tą formą pomocy opracowały trzyletnie, krajowe plany wsparcia branży pszczelarstwa, które mogły wdrażać po akceptacji Komisji Europejskiej. Polska realizowała Krajowe Programy Wsparcia Pszczelarstwa od 2005 do 2022 r. Do 2017 r. odpowiedzialna była za to Agencja Rynku Rolnego, a po jej likwidacji Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolniczego, który przyjmował i oceniał projekty złożone przez pszczelarzy. Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa przypadła rola płatnika środków dla pozytywnie zweryfikowanych wniosków.

UNIJNA POMOC RAZY SIĘDEM

To się zmieniło w nowej unijnej perspektywie budżetowej. Teraz to Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa jest jedyną instytucją realizującą – od przyjęcia wniosku, przez jego ocenę, do wypłaty środków – europejski program wsparcia pszczelarzy. W Planie Strategicznym dla Wspólnej Polityki Rolnej na lata 2023-2027

przygotowano dla branży pszczelarstwa siedem rodzajów pomocy, tzw. interwencji. 24 października 2025 r. ruszył w ARiMR czwarty nabór wniosków o wsparcie w ramach tych interwencji, który potrwa do 28 listopada 2025 r. Na co konkretnie można otrzymać pieniądze?

Wsparcie podnoszenia poziomu wiedzy pszczelarstwa (I.6.1)

Ta oferta dofinansowania skierowana jest do organizacji pszczelarskich oraz jednostek doradztwa rolniczego. Wsparcie można otrzymać na organizację szkoleń dotyczących m.in. prowadzenia gospodarki pasiecznej, chorób pszczoł, pożytków i produktów pszczelich. Koszty kwalifikowane zostały w tym przypadku szczegółowo określone, a refundacji podlegać może nawet 100 proc. poniesionych wydatków.

Inwestycje, wsparcie modernizacji gospodarstw pasiecznych (I.6.2)

O ten rodzaj wsparcia mogą ubiegać się indywidualni pszczelarze oraz – w ich imieniu – organizacje

pszczelarskie. Pomocą finansową objęty jest zakup nowego sprzętu pszczelarskiego, maszyn i urządzeń wykorzystywanych na potrzeby gospodarki pasiecznej, np. miodarek, odstojników oraz uli lub ich elementów. Refundacja wynosi do 50 proc. poniesionych kosztów netto i nie może przekroczyć 100 zł na jeden pień pszczele (maksymalnie 15 tys. zł w danym roku pszczelarskim).

Wsparcie walki z warrozą produktami leczniczymi (I.6.3)

O środki finansowe w ramach tej interwencji mogą ubiegać się w imieniu pszczelarzy zrzeszające ich organizacje, jak również indywidualni pszczelarze. Przeznaczenie tych pieniędzy to zakup warzobójczych produktów leczniczych – nie tylko weterynaryjnych, lecz także tych zawierających substancje czynne dopuszczone do stosowania w gospodarstwach ekologicznych. Zwrotowi podlega do 90 proc. kosztów netto.

Ułatwienie prowadzenia gospodarki wędrowniej (I.6.4)

W tym przypadku pomoc jest skierowana wyłącznie do indywidualnych

pszczelarzy. Realizowane z dofinansowaniem inwestycje muszą dotyczyć zakupu nowego sprzętu, maszyn i urządzeń wykorzystywanych na potrzeby gospodarki wędrowniej, m.in. wag pasiecznych czy przyczep do przewozu uli. Refundacja wynosi do 50 proc. kosztów netto. Natomiast limit wsparcia ustala się na podstawie wielkości gospodarstwa pszczelego. 150 zł na jeden pień pszczele otrzyma hodowca, który ma ich od 25 do 149. Tych pszczelarzy, którzy mają co najmniej 150 pni, obowiązuje stawka 200 zł. Jednak w sumie nie mogą oni otrzymać więcej niż 40 tys. zł.

Pomoc na odbudowę i poprawę wartości użytkowej pszczoł (I.6.5)

Wnioski mogą składać w imieniu pszczelarzy zrzeszające ich organizacje, jak i indywidualni pszczelarze. Wsparciem objęty jest zakup: matek pszczelich z linii hodowlanych, dla których prowadzone są księgi lub rejestry; odkładów lub pakietów pszczelich z matkami pochodzącymi z linii hodowlanych; a także odkładów lub pakietów pszczelich od producentów, którzy uzyskali rekomendację związków lub zrzeszeń pszczelarzy. Refundacji podlega do 70 proc. kosztów netto, natomiast maksymalna kwota pomocy na beneficjenta to 10 tys. zł.

Wsparcie naukowo-badawcze (I.6.6)

Ten rodzaj pomocy adresowany jest do jednostek naukowo-badawczych, które zajmują się tematyką pszczelarską. Dofinansowanie – w maksymalnej wysokości 80 tys. zł na jednego beneficjenta w danym roku pszczele – obejmuje prace poświęcone zdrowiu pszczoł, jakości produktów pszczelich i innowacjom w gospodarce

pasiecznej. Refundacja wynosi nawet 100 proc. kosztów netto.

Wsparcie badania jakości handlowej miodu oraz identyfikacja miodów odmianowych (I.6.7)

Także w tym przypadku wnioski mogą składać wyłącznie indywidualni pszczelarze. Wsparcie można przeznaczyć na zakup analiz fizyko-chemicznych miodu lub analizy pyłkowej miodu. Refundacji podlega do 90 proc. kosztów netto, a limit wynosi 10 tys. zł.

PSZCZELARZE SKŁADAJĄ WNIOSKI

Wnioski w ramach wszystkich naborów z PS WPR 2023-2027 Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa przyjmuje wyłącznie drogą internetową. A to oznacza, że również ubiegający się o wsparcie pszczelarze i ich zrzeszenia dokumenty mogą składać tylko za pośrednictwem Platformy Usług Elektronicznych ARiMR. Pierwszy nabór wniosków dla sektora pszczelarskiego z PS WPR 2023-2027 został przeprowadzony wiosną 2023 r. Można było się wówczas starać o wsparcie w ramach trzech interwencji: I.6.2, I.6.3 i I.6.5. Dofinansowanie w kwocie ponad 41 mln zł trafiło do około 38 tys. pszczelarzy. Pełną parą program ruszył na przełomie lat 2023-2024, gdy odbył się nabór obejmujący wszystkie siedem interwencji. Tym razem ze wsparcia finansowego skorzystało blisko 39 tys. pszczelarzy, którym ARiMR wypłaciła 39,3 mln zł. Trzeci nabór wniosków jest właśnie rozliczany przez ARiMR, stąd brak na razie ostatecznych danych. Ze statystyk Agencji wynika, że do tej pory największym zainteresowaniem pszczelarzy cieszy się interwencja I.6.2, czyli inwestycje związane z modernizacją gospodarstw pasiecznych.



Jak najlepiej dotrzeć na łódzkie nekropolie?

We Wszystkich Świętych, czyli w sobotę, oraz w Zaduszki, 2 listopada, w pobliżu cmentarzy zmieni się organizacja ruchu, aby zapewnić bezpieczeństwo pieszym i dogodny dojazd zmotoryzowanym.

Jacek Zemła

Zmiany w organizacji ruchu w większości będą takie, jak w ubiegłym roku i będą obowiązywać przez cały weekend 1-2 listopada. Najwięcej tymczasowych zmian spotkamy tuż przy cmentarzach, a także na ulicach do nich prowadzących. Planując podróż warto wybrać bezpłatną 1 listopada komunikację miejską MPK, która dodatkowo zostanie w weekend 1-2 listopada wzbogacona o 8 linii „cmentarnych” oznaczonych literą C i numerem.

Wiele ulic obok cmentarzy będzie jednokierunkowa albo zamknięta. Na niektórych części jezdni zostanie przeznaczona na miejsca parkingowe. A oto szczegóły zmian:

● **Cmentarz Szczecińska:** Wjazd w ul. Szczecińską będzie możliwy tylko od strony ul. św. Teresy, a wyjazd tylko w kierunku Zgierza. Całkowicie wyłączona z ruchu będzie ul. Ho-

dowlana. Zmiany obowiązują od 31 X do 2 XI.

● **Cmentarz Radogoszcz:** Najważniejsza zmiana to wjazd i wyjazd z parkingu u zbiegu Zgierskiej i Liściastej. Aby usprawnić ruch na skrzyżowaniu wjazd jest możliwy tylko na prawoskręcie, więc trzeba wjechać od ul. Zgierskiej w Liściastą i na parking. Tak samo możliwy jest wyjazd - skróćmy tylko w prawo w Liściastą w stronę al. Włókniarzy. Ponadto jednokierunkowa będzie ul. Sowińskiego od Zgierskiej do Świetlanej, a Świetlaną pojedziemy w stronę ul. Sasanek. Zmiany obowiązują 1 i 2 listopada.

● **Cmentarz Doły:** Możliwe będzie parkowanie skośne na buspasie na al. Palki po obu stronach jezdni od ul. Wojska Polskiego do Telefonicznej. Ponadto dla wygospodarowania miejsc parkingowych, jak co roku, ulice: Matejki, Druckiego-Lubeckiego i Tamka, będą jednokierunkowe. Wjeżdżamy w Matejki od Pomor-

skiej i dalej w Druckiego-Lubeckiego do Tamki, którą można wrócić do Pomorskiej. Telefoniczna od Palki do Tamki i Smutna od Palki do ul. Doły będą zamknięte dla ruchu. Zmiany obowiązują od godz. 12 w dn. 31 X do 2 XI.

● **Cmentarz Zarzew:** Jednokierunkowa stanie się ul. Andrzejewskiej (przejazd od Lodowej do Puszkina), natomiast odcinek Lodowej od ul. Andrzejewskiej do ul. Przybyszewskiego będzie dostępny wyłącznie dla autobusów MPK oraz taksówek. Jadąc Lodową od strony Widzewskiej skręćmy w lewo w stronę ronda Sybiraków lub w prawo w kierunku Niciarnianej.

● **Cmentarz Rzgowska:** Przy cmentarzu św. Franciszka nie skręćmy w lewo ze Rzgowskiej w Chóralną. Ponadto tzw. stara Rzgowska będzie jednokierunkowa od Chóralnej w stronę krańcówki na Kurczakach, a ulicą Komorniki przejedziemy tylko w stronę ul. Sternfelda.

● **Cmentarz Kurczaki:** Jak co roku zamknięta będzie ul. Kurczaki od Rzgowskiej do Ogniskowej. Kursować będą nią tylko autobusy MPK. Dojazd na cmentarz samochodem możliwy będzie od ul. Sternfelda i św. Wojciecha. Pamiętajmy, aby nie pozostawiać samochodów na Szumnej i Powszechnej oraz po wschodniej stronie Sternfelda, gdzie obowiązuje zakaz parkowania. Natomiast jadąc od ul. Zygmunta trzeba skręcić w Ideową, która będzie jednokierunkowa do Rolniczej, a w drugą stronę jednokierunkowa będzie ul. Konopnickiej.

● **Cmentarz Mania:** Siewna będzie jednokierunkowa w stronę ul. Krakowskiej, ul. Wieczność jednokierunkowa w stronę Biegunowej, a ul. Sołec jednokierunkowa od Borowej do ul. Mania, dalszy przejazd możliwy przez Jęczmienią i Srebrzyńską, która do al. Unii Lubelskiej także będzie jednokierunkowa.

● **Cmentarz Stary:** Srebrzyńska będzie jednokierunkowa



1 listopada przed łódzkim cmentarzami trudno zaparkować. Dlatego tego dnia warto skorzystać z bezpłatnej komunikacji miejskiej.

FOT. PAWEŁ ŁACHETA

od ul. Kasprzaka w kierunku Cmentarnej. Dalej pojedziemy ul. św. Jerzego do Legionów. Sama Cmentarna między ul. św. Jerzego a Legionów będzie przeznaczona wyłącznie dla komunikacji miejskiej. Ponadto Ogrodowa między Cmentarną a Karskiego będzie, jak co roku, wyłączona z ruchu i przeznaczona dla pieszych. Zwłaszcza 1 listopada warto skorzystać z parkingu w Manufakturze i stamtąd przejść na cmentarz. Zmiany obowiązują 1 listopada.

● **Cmentarz Ruda:** Jednokierunkowe staną się ul. Cie-

chocińska od Mierzejowej do Tczewskiej oraz Kuźnicka od Tczewskiej do Mierzejowej. Jadąc od strony ul. Pabianickiej ul. Ciechocińska będzie można skręcić w stronę ul. Rozewie i Tczewskiej. Zamknięty będzie odcinek ul. Mierzejowej od Pogorzel do skrzyżowania ul. Konnej i Poziomej. Jadąc ul. Konną będziemy mogli skręcić jedynie w ul. Bosmańską lub Farną. Zmiany obowiązują 1 listopada.

● **Cmentarz Zakładowa:** W rejonie cmentarza na Zakładowej jadąc od strony Olechowa skręćmy wyłącznie w prawo, w stronę ul. Przybyszewskiego. Od strony cmentarza będzie możliwa wyłącznie jazda w stronę Olechowskiej. Od strony ul. Przyjaznej skręćmy w kierunku cmentarza jak i ul. Olechowskiej. Zmiany obowiązują 1 i 2 listopada.

● **Cmentarz na Sopotkiej:** Jak co roku przy cmentarzu ewangelicko-augsburskim na ul. Sopotkiej wprowadzony zostanie ruch jednokierunkowy.

Wjazd możliwy będzie od Pabianickiej w Ewangelicką i dalej Sopotką dojedziemy do Odrańskiej. Zmiany obowiązują tylko 1 listopada.

Specjalne linie tramwajowe i autobusowe będą kursować między cmentarzami

Jacek Zemła

W sobotę i niedzielę kursować będzie linia tramwajowa 7, która umożliwia dojazd pod bramę Starego Cmentarza. W godz. 9-17 tramwaje będą odjeżdżały co 10 minut. Linia tramwajowa 16 w godz. 9-17 będzie kursować w wydłużonej relacji z Kochanówki na Chojny Kurczaki.

Częściej pojadą także autobusy, m.in. linie 52, 69, 70, 76 oraz 81, 83. Dodatkowo swoje trasy zmieniają autobusy linii 57, 73 oraz 81 - linia 57 będzie kursować w obu kierunkach przez al. Palki, umożliwiając dojazd na cmentarz Doły, linia 73 zostanie wydłużona do cmentarza Mania, a wszystkie kursy linii 81 dojadą na cmentarz Szczecińska.

Na wielu liniach spotkamy dłuższe autobusy, a na wyświetlaczach pojawiają się informacje, obok którego cmentarza jedzie dana linia.

W sobotę i niedzielę uruchomione zostaną także specjalne linie tramwajowe C1 i C2, a tak-

że specjalna linia autobusowa C8.

Linia tramwajowa C1 łączy cmentarz Doły ze Starym Cmentarzem przez Wojska Polskiego, Franciszkańską, Północną, Ogrodową, Nowomiejską, pl. Wolności, Legionów i Cmentarną. W godzinach 9-17 kursuje co 10 minut.

Linia tramwajowa C2 łączy Helenówek z krańcówką Widzew Augustów przez Zgierską, Nowomiejską, pl. Wolności, Pomorską, Kilińskiego, Przybyszewskiego, Puszkina i Rokicińską. W godz. 9-17 kursuje co 20 minut.

Linia autobusowa C8 będzie kursować na trasie pl. Niepodległości - rondo Insurekcji Kościuszkowskiej przez Pabianicką, Rudzką, cm. Stara Gadka oraz Rzgowską. Po drodze zatrzymując się w pobliżu cmentarza przy Sopotkiej, cmentarza na Rudzie oraz przy ul. Rzgowskiej. W sobotę i niedzielę kursuje w godz. 9-17, co 20 minut, dziś (31 października) kursy odbywać się będą co 60 minut.

1 i 2 listopada, czyli dwa dni bez handlu. Za to dzisiaj sklepy są czynne dłużej.

Matylda Witkowska

1 i 2 listopada - wszystkie sklepy i galerie handlowe w mieście będą zamknięte. Za to część sklepów będzie dziś czynna dłużej. Godziny pracy wydłużyły sieci Biedronka i Aldi.

Sieć marketów Biedronka tradycyjnie już przed świętami wydłuża godziny pracy. Dłużej czynne są też Biedronki w ostatnim tygodniu października 2025. Od poniedziałku do środy ponad 3 tys. sklepów pracowało od godz. 6 do 23, a tuż przed długim weekendem czyli wczoraj oraz dziś jeszcze dłużej - od godz. 6 do 23.30. Dotyczy to sklepów w Łodzi i regionie.

Dzisiaj godziny pracy wydłużyła także sieć supermarketów Aldi. Większość sklepów sieci jest dziś otwarta od godz. 6 rano do 23. Wyjątkiem mogą być sklepy w galeriach handlowych, które nie mogą wydłużyć czasu pracy. Sklepy Aldi w Łodzi są poza galeriami, czyli pracują do godz. 23.

- Dla wszystkich osób, które nie miały wcześniej możliwo-



Dziś Biedronki są czynne do godz. 23.30.

FOT. SZYMON STARNAWSKI

ści nabyć zniczy i wiązanek, będzie to okazja, by zrobić odpowiednie zakupy i skorzystać z atrakcyjnej oferty sezonowej związanej z dniem Wszystkich Świętych - mówi Magdalena Iwańska-Burda z sieci Aldi.

Bez zmian w ostatnim dniu października pracują supermarket sieci Netto (6-22), Kaufland (w Łodzi 6-22) oraz Lidl. Lidle w Łodziem w większości czynne są w godz. 6-22, ale

np. sklep w Galerii Łódzkiej tylko w godz. 8-21.30.

Normalnie pracować będą hipermarkety sieci Auchan. Dziś są otwarte w godz. 7.30-22, z kolei hipermarkety sieci Carrefour (przy ul. Kolumny 6/36 i ul. Przybyszewskiego 176/178) będą czynne w godz. 6-22.

Choć większość sklepów 1 i 2 listopada będzie zamknięta, ustawa przewiduje pewne wy-

jątki. Zakaz handlu w świąteczny weekend nie dotyczy m.in.: stacji benzynowych, aptek, kwaciarni, sklepów na dworcach, piekarni, cukierni i punktów gastronomicznych.

Otwarte mogą być też małe sklepy osiedlowe, w których za ladą staną właściciele, a także sklepy franczyzowe, takie jak Żabka, Carrefour Express - o ile prowadzą je właściciele osobiście.

CO DALEJ Z TUNELEM POD ŁODZIĄ? MOŻE ODKRYWKA I WYBURZENIA?

Jacek Zemła

Napisał do nas pan Jacek, który mieszkał w Łodzi, a teraz od 30 lat zajmuje się budownictwem za granicą. Ma pomysł na dokończenie tunelu średnicowego i stworzenie przy tym dużego miejskiego parku. Ciekawe, czy spodoba się to mieszkańcom kamienic na trasie tunelu...

- Pracuję w budownictwie już 30 lat za granicą i z różnymi tunelami miałem do czynienia - pisze pan Jacek. - Jak patrzę, co się dzieje w moim mieście z perspektywy zagranicy to przysłowiowa krew mnie zalewa. Widzę tylko jedną opcję w tej chwili dla Łodzi, żeby skończyć ten dramat tunelowo-ludzki.

Dalej nasz Czytelnik pisze: - Żadnego kopania pod kamienicami, pompowania betonu itp. Żadnego też kopania metodami króla Cwiczka. To jest droga donikąd. Koszty olbrzymie, żadnej gwarancji sukcesu. Dalsze opóźnienia i pretensje lokatorów pewne. Procesy sądowe jak najbardziej.

Według pana Jacka, jedyną opcją to wyburzyć kamienice na trasie tunelu, gdyż nie da

się ich wzmocnić, bo to są budynki mające po sto lat i więcej, które same wymagają remontu. - Reanimowanie trupa to będzie koszt olbrzymi i temat pękających czy walących się budynków nie zejdzie z newsów z Łodzi przez najbliższe kilkadziesiąt lat (aż te kamienice się w końcu same zawalą) - podkreśla pan Jacek.

I dodaje, że dystans między stacjami jest za krótki, by móc pójść głębiej i chociaż trochę ograniczyć wpływ na to, co stoi na ziemi. - Kolejna sprawa: czy ktoś to w ogóle uaktualnił ekonomicznie? Polska to nie Japonia, a PKP to nie Shinkansen. Kto tymi pociągami będzie jeździł? Ludzie do pracy w Łodzi - pyta nasz Czytelnik.

- Moja rada dla władnych tego tunelu - przynajmniej się, że nie da się go zrobić wg planu. Trzeba zapewnić tym ludziom ponad tunelem mieszkania dobrej klasy na osiedlach, które są budowane (za to powinien zapłacić polski rząd) przeprosić ich za wielki problem. PKP i ta firma, co to robi, powinny posypać głowy popiołem i dokończyć ten tunel odkrywkowo. A na powierzchni stworzyć wielki park - kończy pan Jacek.

Odnowione pomniki na Starym Cmentarzu

Za zebrane rok temu datki odnowiono siedem pomników, m.in. zasłużonego prezydenta Łodzi Mariana Cynarskiego.

Magdalena Rubaszewska

31. kwesta na rzecz ratowania zabytków Starego Cmentarza przy ul. Ogrodowej zostanie przeprowadzona 1 i 2 listopada. Tymczasem można zobaczyć odnowione pomniki za datki zebrane podczas ubiegłorocznej, jubileuszowej kwesty. Kwota okazała się rekordowa - 143 tys. zł.

W tym roku udało się odrestaurować siedem zabytkowych obiektów, w tym nagrobek 17-letniego Jurka Kranasa, ucznia gimnazjum im. Kopernika (dzieło Wacława Konopki), neogotycki, z lat 70. XIX wieku, pomnik Stanisława Borowskiego oraz jedno z najstarszych budowli w części ewangelickiej.

Także kasa miejska dopłaca do renowacji zabytków Starego Cmentarza przy ul. Ogrodowej.

Do renowacji nagrobków w tej najstarszej łódzkiej nekropolii miasto dorzuca się od kilkunastu lat. W tym roku dopłaciło do restauracji nagrobka Mariana Cynarskiego, prezydenta Łodzi w okresie międzywojennym, który był m.in. inicjatorem utworzenia parku na Zdrowiu, budowy kanalizacji, przyznawania literackiej nagrody Łodzi i twórcą Miejskiej Galerii Sztuki.

Pomnik w miejscu jego pochówku ma kształt steli - ściany z elementami płasko rzeźbionej dekoracji. W zwieńczeniu jest tympanon z łodzią nawiązującą do herbu miasta.

- Praca przy tym pomniku była trudna, skomplikowana. Został on bowiem wykonany z delikatnego, kremowego piaskowca. Nagrobek był odnawiany 25 lat temu, ale ponownie pojawił się na nim liczne spękania i odspojenia - wyjaśnia Cezary Paw-



Pomnik prezydenta Cynarskiego ma kształt steli - ściany z elementami płasko rzeźbionej dekoracji. W zwieńczeniu jest łódź nawiązująca do herbu miasta.

lak, prezes Towarzystwa Opieki nad Starym Cmentarzem.

31. kwesta zaczęła się symbolicznie już w ubiegłą sobotę, 25 października. Tego dnia 300 uczniów i 50 nauczycieli z 40 szkół porządkowało cmentarz.

1 listopada kwestarze będą obecni na nekropolii w godz. 9-19, a 2 listopada (w niedzielę) w godz. 9-17. Za zebrane podczas zbiórki pieniądze ma być odnowionych wytypowanych dziewięć zabytkowych nagrobków, w tym kupca Maurycego Sprzączkowskiego, inżyniera Ignacego Kosobuckiego, a w części ewangelickiej Leonnida-te Pfera, bogatego przedsiębiorcy (jego nagrobek zniszczyło upadające podczas wichury drzewo).

Tegoroczna kwesta przebiegnie pod przewodnim hasłem „170 lat Starego Cmentarza”.

9 września 1885 r. ta nekropolia została poświęcona, od początku była podzielona na części ewangelicką, katolicką i prawosławną.

- To pierwszy cmentarz trójwyznaniowy, który odzwierciedla wielonarodowościową, wielokulturową historię Łodzi. Doliczono się około tysiąca kaplic grobowych, pomników nagrobnych, rzeźb, kutech ogrodzeń - dodaje Cezary Pawlak.

Dotychczas za ponad 2 mln zł zgromadzonych w ciągu 30 lat, odnowionych 216 pomników na cmentarzu przy ul. Ogrodowej.

MATERIAL INFORMACYJNY T-MOBILE

Powiedz „stop” mowie nienawiści! Podpisz Deklarację Niezgody na Hejt

Wystartowała kolejna odsłona kampanii społecznej #HejtOutLoveIn, realizowanej przez T-Mobile Polska wspólnie z Fundacją SEXEDPL, której celem jest zburzenie bariery obojętności wobec hejtu. Każdy może dołączyć do akcji, podpisując Deklarację Niezgody na Hejt na [hejtoutlovein.pl](#) i tym samym pokazać, że głos szacunku jest silniejszy niż głos nienawiści. Deklarację podpisały znane postaci życia publicznego - Anja Rubik, Helena Englert, Maciej Zakościelny, Anna Dec i Irena Wielocha.

Kampania oparta jest o badania dotyczące mowy nienawiści w sieci wśród polskich użytkowników internetu, zlecone przez firmę T-Mobile Polska. Wnioski są pesymistyczne - wynika z nich, że chociaż tylko około pięciu procent komentatorów generuje hejt, to zjawisko przytłacza pozostałą większość. Aż 63 procent młodych osób doświadczyło hejtu - najczęściej z powodu wyglądu, poglądów i stylu bycia. Ponad 80 procent uważa go za problem, a 84 procent sądzi, że wymaga on zdecydowanej reakcji. Jednocześnie aż 67 procent badanych czuje wobec niego bezradność. Niepokoi również fakt, że osoby, które doświadczyły hejtu, pięć razy częściej stają się później jego sprawcami. Działają tym samym z potrzebą odwetu, w efekcie czego napędza się nieustanna spirala nienawiści.



- Wyniki badań były dla nas szokujące - komentuje Małgorzata Rybak-Dowżyk, dyrektorka Departamentu Komunikacji Korporacyjnej i ESG w T-Mobile Polska. - Żyjemy w świecie hybrydowym, w którym świat online łączy się ze światem offline i to, czego doświadczamy w jednym, oddziałuje też na drugi. Dlatego jako T-Mobile Polska, firma, która daje ludziom okno do świata cyfrowego, uważamy, że naszą odpowiedzialnością jest nie tylko do-

starczenie najwyższej jakości usług, ale też sprawienie, by ludzie w cyfrowym świecie byli bezpieczni.

Celem akcji jest zburzenie bariery obojętności wobec hejtu. - Jako T-Mobile nie zgadzamy się na obojętność - dodaje Rybak-Dowżyk. - Głos szacunku jest silniejszy niż głos hejtu. Wierzymy, że możemy wszyscy połączyć się ponad podziałami i działać wspólnie na rzecz wykluczenia mowy nienawiści w sieci. Możemy rozpocząć

nowy etap kultury i bezpieczeństwa w internecie.

Martyna Wyrzykowska, dyrektorka Fundacji SEXEDPL, zwraca uwagę, że kampania skierowana jest nie tylko do osób, które hejtu doświadczają, ale też do tych, które go generują, bo one również potrzebują pomocy:

- Chcemy pomagać ofiarom przemocy, świadkom, ale też sprawcom. Każda z tych grup jest ważna i każdej trzeba jakoś pomóc, by była możliwa trwała społeczna zmiana. Rosnąca w ludziach złość doprowadza do tego, że odpowiadają złością innym - a najłatwiej to zrobić wobec kogoś słabszego. Hejterzy często piszą nienawistne komentarze nie dlatego, że są złymi ludźmi, tylko dlatego, że tak robią wszyscy. Nauka zarządzania swoimi emocjami, w tym negatywnymi, to pierwszy krok do zwalczania hejtu.

Akcję #HejtOutLoveIn wspierają znani aktorzy, Helena Englert i Maciej Zakościelny. Gwiazdy ekranu jako osoby publiczne, których profile społecznościowe gromadzą tysiące followersów, są szczególnie narażone na złośliwe komentarze hejterów. Ale ich doświadczenia mogą wspomóc i zainspirować także „zwykłych” ludzi, którzy coraz częściej stają się celami ataków w świecie wirtualnym.

- Używamy naszych głosów, które są słyszalne w mediach, aby mówić o problemach, które doty-

kają dziś niemal wszystkich - mówi Helena Englert, gwiazda takich produkcji jak „#BringBackAlice”, „Śleboda” czy „Rodzinka.pl”. - Już nie tylko osoby publiczne mierzą się z hejtem, ale też zwykli ludzie, którzy mają konto na Facebooku, Instagramie, TikToku - czyli w dzisiejszych czasach prawie każdy. Nie może być tak, że hejt staje się walutą wymiany opinii w internecie.

Wsparcie dla akcji #HejtOutLoveIn można wyrazić, podpisując Deklarację Niezgody na Hejt, dostępną online na stronie [hejtoutlovein.pl](#). Zachęca do tego słynna modelka Anja Rubik, współzałożycielka i ambasadorka Fundacji SEXEDPL:

- Mówimy: dość. Nie będziemy wspierać hejtu ani słowem, ani milczeniem. Będziemy reagować, gdy zobaczymy nienawiść. Wybieramy odwagę, empatię i odpowiedzialność. Burzymy barierę obojętności wobec hejtu. Razem możemy pokazać, że głos szacunku jest głośniejszy niż głos nienawiści. Czy dołączycie?

Otwórz aparat w telefonie, zeskanuj kod i podpisz Deklarację Niezgody na Hejt.



Anna Gronczewska

Najstarszą i najbardziej znaną łódzką nekropolią jest Stary Cmentarz przy ul. Ogrodowej. Jego historia sięga połowy XIX wieku. Spoczęli tu też znani łodzianie.

Założono go w 1855 roku. Podzielony jest na trzy części: katolicką, ewangelicką i prawosławną. Tu m.in. pochowani są fabrykanci budujący potęgę przemysłowej Łodzi. Można na nim odnaleźć mauzolea łódzkich rodów fabrykanckich, a więc Grohmanów, Geyerów, Kunitzerów, Kindermannów.

Jednak najokazalszym może poszczycić się rodzina Scheiblerów. Tzw. Kaplica Scheiblerów to jeden z ważniejszych łódzkich zabytków. Została zbudowana w latach 1885-1888 według projektu Edwarda Lillpopa i Józefa Piusa Dziekońskiego. Na części ewangelickiej cmentarza można podziwiać zaś wybudowane między 1899 a 1904 rokiem neorenesansowe mauzoleum rodziny Heinzlów. Spoczywa w nim m.in. Juliusz Heinzel, najwybitniejszy przedstawiciel tej rodziny fabrykanckiej.

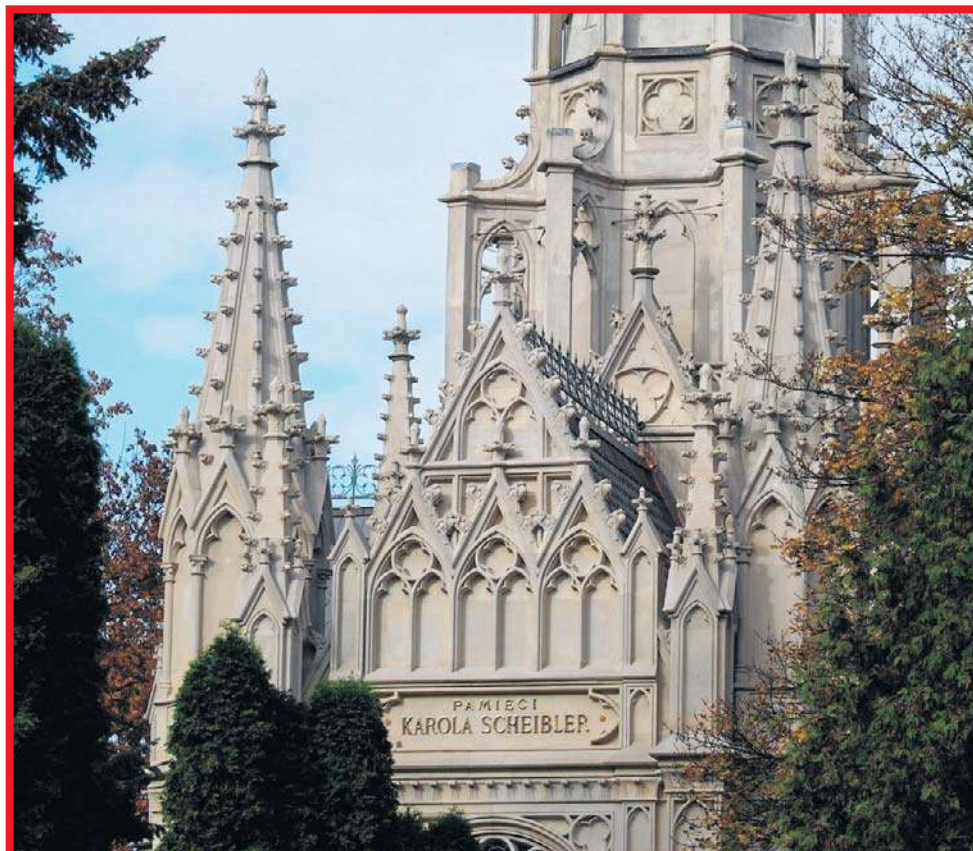
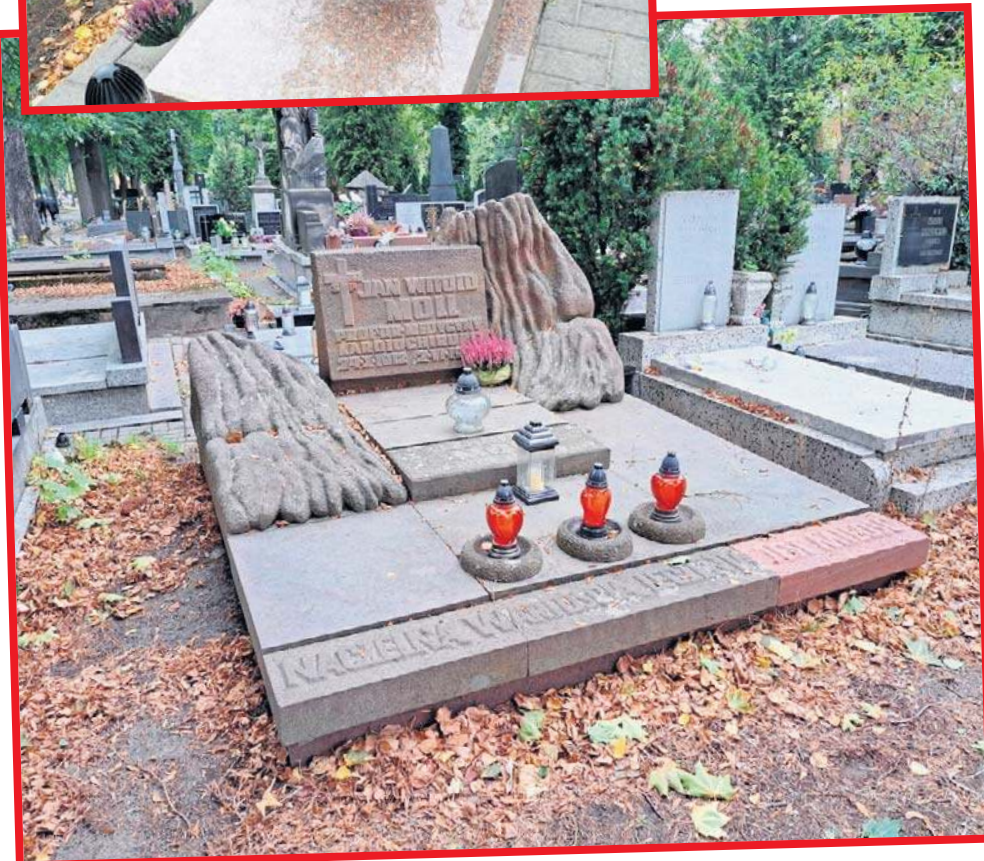
Przy Ogrodowej spoczywają także: znany polski aktor Leon Niemczyk, reżyser serialu „Daleko od szosy” Zbigniew Chmielewski, a także Władysław Strzemiński, jeden z prekursorów polskiej awangardy.

Nagrobki na cmentarzu przy ul. Ogrodowej projektowali Wacław Konopka, Władysław Czapliński, Anastazy Lepla. Około 100 znajdujących się na nim pomników pochodziło z firmy budowlano-kamiennarskich rzeźbiarza Antoniego Jana Urbanowskiego. Na przełomie XIX i XX wieku była ona jedną z najprężniejszych i największych w całym Królestwie Polskim działających w tej branży. W jego zakładzie wykonano m.in. pomnik prezydenta Łodzi Andrzeja Rosickiego, Gustawa Gayera, Karola Jonshera, mauzoleum Juliusza Kunitzera i mauzoleum Heinzlów.

200 nagrobków znajdujących się na Starym Cmentarzu jest wpisanych do rejestru zabytków. We Wszystkich Świętych jest prowadzona kvesta, a zebrane na niej pieniądze przeznaczone na renowację zabytkowych pomników.

Przez ten czas udało się odnowić ponad 200 co pochłoneło ponad 1,8 miliona złotych.

Najstarszą i najbardziej znaną łódzką nekropolią jest Stary Cmentarz przy ul. Ogrodowej. Jego historia sięga połowy XIX wieku. Spoczęli tu też znani łodzianie.





FOT. ARCHIWUM POLSKA PRESS

Spotkanie Trump - Xi

Po bezpośredniej rozmowie liderów USA i Chin pojawiło się sporo pozytywnych uzgodnień. Ale ciągle trudno stwierdzić, czy to światło w tunelu, czy pozycja negocjacyjna.

Beata Kulicka, PAP

Przełom? Pierwsze od roku spotkanie przywódców USA i Chin w południowokoreańskim Pusan przyniosło zaskakującą serię pozytywnych sygnałów. Donald Trump i Xi Jinping ogłosili cały pakiet kwestii gospodarczych, w których ich kraje zamierzają współpracować. Waszyngton i Pekin mają też „razem pracować” nad rozwiązaniem konfliktu między Rosją i Ukrainą.

- Uważam, że to było niesamowite spotkanie. To wspinały przywódca, wspinały przywódca bardzo potężnego, bardzo silnego kraju, Chin, i coś mogą powiedzieć? Podjęliśmy wybitne decyzje. (...) Wiele decyzji zostało podjętych - powiedział Trump podczas lotu powrotnego do USA

na pokładzie Air Force One. Zapowiedział też pisemne podsumowanie wszystkich porozumień.

Amerykański prezydent ogłosił, że zawarł z Chinami jednoroczne porozumienie obejmujące m.in. powstrzymanie się od kontroli eksportu metali ziem rzadkich przez ChRL, a także obniżenie ceł na towary z Chin o 10 procent w zamian za obietnicę powstrzymania eksportu prekursorów do wytwarzania fentanylu. W rezultacie cła na większość importu z Chin spadną z 57 do 47 proc.

Chiny zapowiadały wcześniej ustanowienie restrykcji eksportowych minerałów krytycznych do całego świata, co wstrząsnęło Trumpem i spowodowało zapowiedź odwetu, w tym nałożenia dodatkowych 100 proc. ceł. W wyniku roz-



Donald Trump spotkał się z Xi Jinpingem bezpośrednio po raz pierwszy od sześciu lat.

mowy przywódców groźby te nie zostaną zrealizowane przynajmniej przez rok, choć Trump zapowiedział, że porozumienie zostanie prawdopodobnie odnowione. Według amerykańskiego prezydenta Chiny zgodziły się też wznowić zakupy amerykańskiej soi i innych produktów rolnych.

Trump stwierdził, że mimo poruszenia wielu kwestii nie rozmawiał z Xi o problemie Tajwanu. Zapowiedział też, że z Xi ustalili, że w kwietniu odwiedzi Chiny, zaś potem Xi przyjedzie

do USA, odwiedzając go na Florydzie lub w Waszyngtonie.

- Myślę, że w skali od zera do dziesięciu, gdzie 10 to ocena najwyższa, powiedziałbym, że spotkanie oceniam na 12 - podsumował.

Trump powiedział, że długo rozmawiał z Xi na temat wojny w Ukrainie i obaj ustalili, że będą współpracować „żeby zobaczyć, czy uda nam się coś zrobić”. Dodał, że on i Xi chcą zakończyć wojnę, choć „nie ma tak naprawdę wpływu” na ich państwa.

Zarzuty dla Dariusza Mateckiego. Sprawa dotyczy Funduszu Sprawiedliwości

Beata Kulicka, PAP

Prokuratura Krajowa skierowała w czwartek akt oskarżenia wobec ośmiu osób, w tym posła PiS Dariusza Mateckiego, w śledztwie dotyczącym Funduszu Sprawiedliwości.

Jak przekazał rzecznik prokuratury Przemysław Nowak, Matecki jest oskarżony o popełnienie łącznie sześciu przestępstw.

Akt oskarżenia skierowano do Sądu Okręgowego w Szczecinie.

Prokurator Nowak przypomniał, że dotyczy on tzw. „wątku szczecińskiego, obejmującego nieprawidłowości przy organizacji trzech konkursów Funduszu Sprawiedliwości, które od początku były przeprowadzane w sposób zapewniający przyznanie wielomilionowych dotacji dwóm z góry wskazanym stowarzyszeniom: Stowarzyszeniu Fidei Defensor oraz Stowarzyszeniu Przyjaciół Zdrowia”.

W marcu tego roku prokuratura przedstawiła Mateckiemu zarzuty dot. popełnienia łącznie sześciu przestępstw zagrożonych karą do 10 lat pozbawienia wolności.

Pierwsze trzy dotyczą współdziałania z funkcjonariuszami publicznymi z Ministerstwa Sprawiedliwości przy przekroczeniu uprawnień w związku z przeprowadzeniem trzech konkursów na dotacje z Funduszu w sposób „zapewniający ich rozstrzygnięcie na rzecz powiązanych stowarzyszeń Fidei Defensor i Przyjaciół Zdrowia” i przywłaszczenia środków w łącznej kwocie 16,5 mln zł.

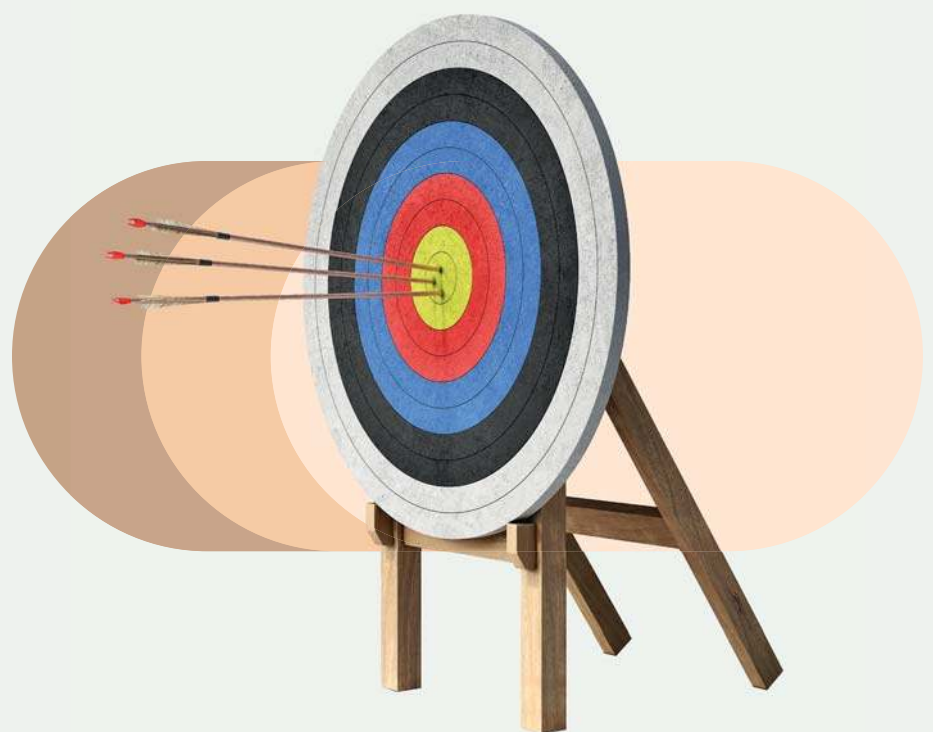
Matecki ocenił, że zarzuty są „polityczne i wysane z palca”. Zapowiedział też, że w najbliższych dniach będzie publikował dowody swojej niewinności i dokumenty odnoszące się do zarzutów prokuratury. Powiedział ponadto, że nigdy nie decydował o wydatkowaniu pieniędzy z Funduszu i nie otrzymał z niego żadnych środków.

Polecamy →

strefa BIZNESU

**Know-how
w dobrym biznesie**

strefabiznesu.pl



Myśliwce w akcji

Polskie myśliwce MiG-29 przechwyciły rosyjski samolot rozpoznawczy Il-20 nad Morzem Bałtyckim. Zamknięto też dwa porty lotnicze w kraju.

Beata Kulicka, PAP

Dowództwo Operacyjne Rodzajów Sił Zbrojnych (DORSZ) poinformowało wczoraj nad ranem o uruchomieniu „wszystkich dostępnych sił i środków pozostających w jego dyspozycji” w związku z rosyjskimi atakami na cele na Ukrainie.

Jak napisano, poderwane zostały dyżurne pary myśliwskie i samolot wczesnego ostrzegania, a naziemne systemy obrony powietrznej oraz rozpoznania radiolokacyjnego osiągnęły stan najwyższej gotowości. O zakończeniu operowania sił powietrznych w polskiej przestrzeni powietrznej DORSZ poinformowało po godz. 10.

Przebywający w Kartuzach wicepremier i minister obrony Władysław Kosiniak-Kamysz

poinformował w czwartek o przechwyceniu przez polskie myśliwce MiG-29 rosyjskiego samolotu rozpoznawczego nad Morzem Bałtyckim. - Dzisiaj MiG-i-29 przechwyciły rosyjski samolot rozpoznawczy nad Morzem Bałtyckim, tak jak wczoraj - powiedział szef MON.

Kosiniak-Kamysz podkreślił, że zagrożenie dla Polski jest ze wschodu, ze strony Federacji Rosyjskiej. - Kto dzisiaj prowadzi retorykę antyniemiecką, antyukraińską, budząc takie nastroje, działa wbrew interesowi państwa polskiego - mówił szef MON.

- Trzeba kompletnych dyktantów po drugiej stronie mieć albo cynicznych polityków wykorzystujących emocje, albo budujących takie emocje - dodał wicepremier.

W środę Dowództwo Operacyjne informowało o prze-



Rosyjski samolot rozpoznawczy Il-20 został przechwycenie przez polskie MiG-29 nad Bałtykiem.

chwyceniu we wtorek przez dyżurną parę polskich myśliwców MiG-29 rosyjskiego samolotu Il-20 realizującego nad Morzem Bałtyckim misję rozpoznawczą w międzynarodowej przestrzeni powietrznej bez złożonego planu lotu i z wyłączonym transponderem.

Jak podkreślono, nie odnotowano naruszenia polskiej przestrzeni powietrznej.

Równolegle polskie wojsko reagowało na działania rosyjskie na terenie Ukrainy. Dowództwo Operacyjne Rodzajów Sił Zbrojnych przekazało w czwartek wczesnym rankiem na platformie X, że w związku z atakiem Federacji Rosyjskiej

na obiekty znajdujące się na terytorium Ukrainy, trwa operowanie polskiego i sojuszniczego lotnictwa w naszej przestrzeni powietrznej. Działania te, jak wskazywano, miały charakter prewencyjny i były ukierunkowane na zabezpieczenie przestrzeni powietrznej i jej ochronę, zwłaszcza w rejonach przyległych do zagrożonych obszarów.

Z kolei Polska Agencja Żeglugi Powietrznej (PAŻP) informowała zaś, że z powodu konieczności zapewnienia swobody operowania lotnictwa wojskowego lotniska w Radomiu i Lublinie zostały zamknięte na czas działań.

W Holandii powstanie rząd bez udziału prawicowej partii Geerta Wildersa

Beata Kulicka, PAP

Niespodziewany wynik przedterminowych wyborów w Holandii. Zwyciężyła w nich liberalna partia Demokraci 66 kierowana przez Roba Jettena.

Liberalno-proeuropejska partia Demokraci 66 (D66) zdobyła 27 mandatów w 150-osobowej Izbie Reprezentantów - wynika z sondażu exit poll Ipsos I & O dla publicznego nadawcy NOS i komercyjnego RTL.

Na drugim miejscu znalazła się skrajnie prawicowa Partia Wolności (PVV) Geerta Wildersa - 25 mandatów, a na trzecim liberalna Partia Ludowa na rzecz Wolności i Demokracji (VVD) z 23 mandatami.

Na kolejnych miejscach uplasowały się lewicowy sojusz Zielonych i Partii Pracy (GL-PvdA) z 20 mandatami oraz chrześcijańscy demokraci z CDA, którzy zdobyli 19 mandatów - aż o 14 więcej niż w 2023 roku. Wynik D66 też oznacza znaczący wzrost poparcia - partia miała dotąd tylko 9 miejsc w Twee

Niespodziewanie dobre wyniki osiągnęły partie prawicowe: JA21 uzyskała 9 mandatów (wcześniej 1), a Forum voor Democratie - 6 (wcześniej 3). Z kolei ruch rolniczy BBB zdobył 4 miejsca (wcześniej 7), a socjaliści (SP) - 3 (wcześniej 5).

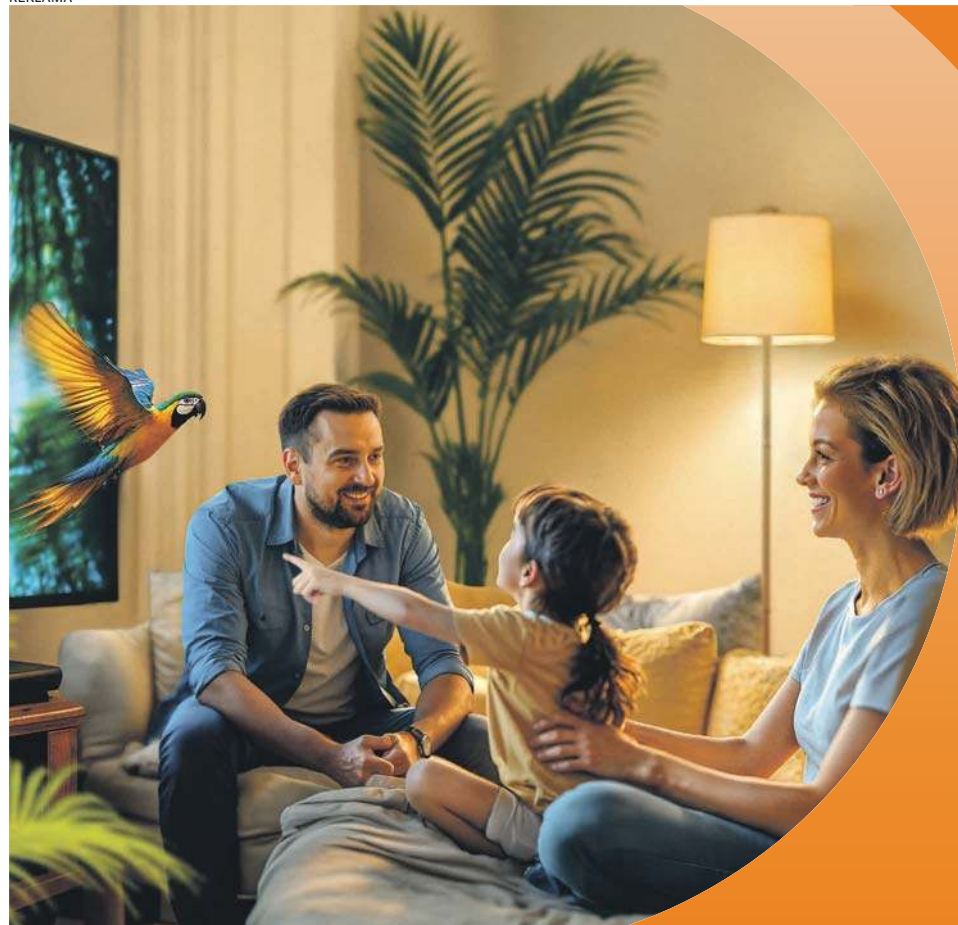
W parlamencie utrzymują się mniejsze ugrupowania, w tym Denk, Partia na rzecz Zwierząt (PvdD) i protestancka SGP - każda z trzema mandatami. Po przerwie wraca partia seniorów 50Plus (2 mandaty). Frekwencja wyborcza wyniosła 76,3 proc. - nieco mniej niż w 2023 roku (77,7 proc.).

Wprawdzie oficjalnych wyników wyborów jeszcze nie ma, ale już zaczęły się pierwsze przymiarki koalicyjne. Według medialnych spekulacji nowym premierem zostanie Rob Jetten. Stanie on na czele rządu, który utworzą jego partia D66 razem z VVD, z CDA oraz z JA21.

Faworyt wyborów, skrajnie prawicowa Partia Wolności, po raz kolejny pozostanie w opozycji. Klęskę w wyborach poniosła koalicja partii lewicowych.

REKLAMA

0011415989



GŁOS
REGENERACJI

Kochamy korzystać z energii, ale chcemy, żeby była bezpieczna.



Dlatego inwestujemy w modernizację ciepłowni i elektrociepłowni, by niezawodnie dostarczać ciepło, ograniczając emisję szkodliwych związków.

Komisja Europejska w lipcu przedstawiła projekt perspektywy finansowej UE na lata 2028-2034. Choć jej wartość ma wzrosnąć z obecnych 1,2 bln euro do rekordowych 2 bln euro, to zadowolonych z tego stanu rzeczy instytucji i państw jest bardzo niewiele.

Głosy niezadowolonych zgłaszają także tak ważne instytucje jak Parlament Europejski i Europejski Komitet Regionów. Jak to wpłynie na trwające właśnie negocjacje?

Coraz więcej sporów wewnątrz UE odnośnie pieniędzy. Na ostatnim szczycie UE dużo miejsca poświęcono ETS2, opłacie, która od 2027 r. ma być nakładana na dostawców paliw energetycznych. Jej wprowadzenie przełoży się na wzrost cen prądu w Europie, co - biorąc pod uwagę fakt, że elektryczność na kontynencie już jest niebotycznie droga - jeszcze osłabi europejską konkurencyjność na światowych rynkach. Ostatecznie w konkluzje szczytu wpisano enigmatyczny zapis o jego rewizji, ale bez dalszych szczegółów. Wycofania się z tego pomysłu nie przewidziano.

Kolejny konflikt dotyczy sposobu wykorzystania zamrożonych rosyjskich aktywów. Kanclerz Niemiec Friedrich Merz chciał użyć tych pieniędzy do sfinansowania pomocy Ukrainie - ale jego pomysł został zablokowany przez premiera Belgii Barta De Wevera. To jest krok, który nie został podjęty nigdy w historii, nawet w trakcie drugiej wojny światowej. Zamrożone aktywa zawsze były zabezpieczone, nigdy nie były tknięte - argumentował szef rządu Belgii - na terenie tego kraju znajduje się dwie trzecie zamrożonych aktywów. Dlatego De Wever - obawiając się konsekwencji tej decyzji - oczekuje uwspólnienia decyzji.

Te dwie kwestie królowały w ostatnich dniach w mediach, jednak nie tylko one generują napięcia. Fundamentalne spory trwają wokół negocjacji nowego budżetu UE, który będzie obowiązywał od 2028 r. W lipcu Komisja Europejska przedstawiła pierwszą propozycję pieniędzy



Przewodnicząca Europejskiego Komitetu Regionów Kata Tűttő (po prawej) i wiceprzewodnicząca Komisji Europejskiej Roxana Maraculiu.

Napięcia wokół pieniędzy w nowym budżecie unijnym

z wartej 2 biliony euro perspektywy finansowej. I - mówiąc eufemistycznie - entuzjazmu nie było. Głosów chwalcących ten projekt było niewiele, za to środowisk i organizacji oczekujących jej rewizji objawia się coraz więcej. Wśród nich choćby Parlament Europejski, który uważa, że projekt nowej perspektywy finansowej w żaden nie wpisuje się w ambicję, która powinna mieć Unia na przełomie trzeciej i czwartej dekady XXI wieku.

Do tej listy właśnie dołączył Europejski Komitet Regionów (EKR) - działający przy UE organ doradczy, który zrzesza przedstawicieli władzy lokalnych i samorządowych ze wszystkich krajów Unii. Wprawdzie formalnie EKR nie ma wpływu na decyzje podejmowane na szczeblu unijnym, ale mimo to - przede wszystkim przez silne powiązania polityczne - jest instytucją posiadającą bardzo mocne umocowanie w Brukseli. Wystarczy zerknąć na listę polity-

ków, którzy współpracują wspólnie w ramach komitetu. Są to choćby Rafał Trzaskowski, prezydent Warszawy, który jeszcze niedawno był wiceprzewodniczącym Europejskiej Partii Ludowej czy Węgierka Kata Tűttő, przewodnicząca EKR, która równolegle zasiada w prezydium Partii Europejskich Socjalistów (PES). Niedawny szef Komitetu Apostolos Tzitzikostas jest obecnie komisarzem UE ds. transportu. Choćby te trzy nazwiska dowodzą, że EKR ma silne karty do gry w zakulisowych rozgrywkach w Brukseli.

Podczas październikowej 23. edycji Europejski Tydzień Regionów i Miast, organizowanej przez EKR corocznej konferencji poświęconej wymianie doświadczeń między samorządowcami w UE, mocno wybrzmiał protest władz lokalnych przeciwko propozycji budżetu na lata 2028-2034. Według Komitetu tak skonstruowana perspektywa finansowa

doprowadzi do dalszej centralizacji władzy w UE, a także do nacjonalizacji polityki spójności, polityki rybołówstwa i polityki rolnej.

„Wzywamy Komisję Europejską do zmiany struktury i koncepcji długoterminowego projektu budżetu. Nie zawiera on bowiem jasnych, prawnie wiążących gwarancji, że inwestycje w ramach polityki spójności będą kształtowane i realizowane we współpracy z regionami i miastami. Nie ma również gwarancji, że wszystkie regiony będą miały dostęp do polityki spójności” - mówiła Kata Tűttő, stojąca na czele EKR. „Połączenie funduszy spójności i funduszy rolniczych w jedną państwową pulę środków bez jasnych kryteriów przydziału stawia rolników w sytuacji konkurencji z lokalnymi społecznościami i oddziela UE od jej regionów i miast” - podkreślała.

„Pominięcie regionów i miast zrujnuje UE w jej obecnym

kształcie. Nie chodzi tu tylko o pieniądze, ale o demokrację i jedność europejską. Chcemy usprawnić politykę spójności i zwiększyć konkurencyjność Europy, ale wniosek Komisji nie jest właściwym rozwiązaniem” - mówiła z kolei Sari Rautio, sprawozdawczyni EKR ds. przyszłych wieloletnich ram finansowych. Rautio stoi na czele zespołu, który przygotowuje opinię Komitetu w sprawie przyszłych wieloletnich ram finansowych. Zostanie ona przedstawiona w marcu przyszłego roku.

Hasło „renacjonalizacja funduszy europejskich” budzi obawy przede wszystkim przez zamiar połączenia w jedną kopercie funduszy spójności (na wsparcie biedniejszych regionów) oraz polityki rolnej. Gdyby do tego rzeczywiście doszło, to władze centralne w każdym kraju samodzielnie decydowałyby o proporcjach, w jakich rozdziela te pieniądze. I właśnie

to budzi główne protesty - Parlamentu Europejskiego, Komitetu Regionów, organizacji branżowych.

Natomiast tego projektu są gotowe bronić Niemcy - a przynajmniej Berlin wysłał taki sygnał. „Niemcy nie zgodzą się na wieloletnie ramy finansowe, które nie obejmują modernizacji” - powiedział ambasador Niemiec przy UE Thomas Ossowski. „Potrzebujemy tych nowych struktur i popieramy reformę zaproponowaną przez Komisję” - dodał w ubiegłym tygodniu.

Niemcy bronią także proponowanego w projekcie budżetu nowego narzędzia, jakim jest Europejski Fundusz Konkurencyjności, którego wartość to 234 mld euro. Z tego mechanizmu mają być wspierane projekty pozwalające krajom UE konkurować na międzynarodowych rynkach. Ale część krajów zaprottestowała pod koniec października przeciwko metodom jego dzielenia. Uważają one, że należy podzielić tych środków uwarunkować geograficznie - tak, by skorzystać z nich mogły wszystkie regiony UE. Jednak te zasady nie chcą uznać Niemcy. Według Berlina, jego wprowadzenie wypaczy ogólną ideę samego funduszu i chce, żeby mogły z niego korzystać projekty po prostu najlepsze, bez dodatkowych ograniczeń. Przedstawiciel Niemiec dodał też, że jeśli uwarunkowania geograficzne zostaną utrzymane, będzie to oznaczało cięcia w budżecie na politykę spójności.

Oddzielna sprawa, że nie za bardzo wiadomo, co jeszcze w kohezji można uciąć. W obecnej perspektywie finansowej polityka rolna i spójności stanowią 62 proc. wszystkich wydatków. W nowej perspektywie na lata 2028-2034, która jest wyraźnie większa od obecnej siedmiolatki (obecny budżet UE to 1,2 bln euro, kolejny to 2 bln euro), poziom wydatków na te dwie polityki ma zmaleć do 44 proc. Tort do podziału między 27 krajów stał się wyraźnie mniejszy. Nic dziwnego, że generuje to napięcia i konflikty.

Agaton Koziński

0011259315

REKLAMA

0111406463



FIRMA POGRZEBOWA I KREMATORIUM

TELEFONY CAŁODOBOWE: 42 633 73 00 | +48 510 237 235

Kompleksowe usługi pogrzebowe

Ekologiczne pochówki

Międzynarodowy transport zmarłych

Rozliczenie ratalne

www.klepsydra.pl | Łódź, ul. Solec 5

H. SKRZYDŁEWSKA

- Kompleksowa organizacja pogrzebów
- Całodobowy transport zmarłych
- Kwiaty, wieńce, oprawa muzyczna
- Wsparcie formalne i doradztwo
- Własne krematoria
- Międzynarodowy transport zmarłych

Całodobowo: 42 672 33 33

800 672 333

Tradycja • Rzetelność • Profesjonalizm



Małgorzata Hołub-Kowalik odeszła z zawodowego sportu. To mistrzyni olimpijska z 2020 w sztafecie mieszanej 4×400 metrów, wicemistrzyni olimpijska w sztafecie 4×400 metrów. Wicemistrzyni świata w sztafecie 4×400 metrów z 2019 r. Nam opowiada o kulisach tej decyzji i życiu na sportowej emeryturze.

Zakładam, że życie zawodowego sportowca to jest dyscyplina i rutyna treningowo-jedzeniowa...

To jest zdecydowanie dyscyplina i rutyna. Każdy mój dzień wyglądał tak samo. To właśnie to jest coś, czego my, sportowcy, jesteśmy nauczeni, czyli idealnie ułożony plan dnia. Wiemy, o której musimy zjeść śniadanie, bo musimy zjeść na określony czas przed treningiem. Wiemy, co musimy zjeść danego dnia, bo jeśli to jest trening siłowy, no to musimy mieć bardziej białkowe posiłki, jeśli trening wytrzymałościowy, to bardziej węglowodanowe, takie lekkostrawne. Więc każdy dzień jest idealnie poukładany. I właśnie wszystko jest dostosowane pod nasz kalendarz. I to nie tylko nasze życie jako sportowców, ale też, nie ukrywamy, całych naszych rodzin. Nie możemy wyjechać na wakacje, majówkę, czyli mniej więcej tak, jak żyją normalni ludzie. Sportowcy mają to wszystko ściśle zaplanowane, jeśli chodzi o kalendarz startowy. Będąc zawodowym sportowcem, jak policzył mój mąż, średnio ponad dwieście dni byłam na zgrupowaniach, zawodach, jakichś konsultacjach. Więc tak naprawdę więcej niż połowę roku mnie nie było, bo trzeba było wszystko dostosować właśnie do tego, żeby wystartować i przebiec to jedno okrażenie, czyli tylko minutę pokazać się widzom.

Taki dzień treningowy ile godzin zajmował?

Nasze życie dzieliło się właśnie na ten okres, kiedy jesteśmy na zgrupowaniach i na ten, kiedy jesteśmy w domu. Mieliśmy to podzielone tak, że kiedy byliśmy na zgrupowaniach, trenowaliśmy dwa razy dziennie plus tak zwany rozruch, czyli zazwyczaj było tak, że wstawaliśmy rano - najpierw było takie małe gimnastyko-rozciąganie zwane rozruchem, śniadanie, pierwszy trening, obiad, chwila odpoczynku, drugi trening, kolacja. No i po kolacji czas wolny. A czas wolny to... nasz czas wolny to spotkanie z psychologami, fizjoterapeutami. I tak mniej więcej wyglądał dzień na zgrupowaniu.

Czyli to są godziny treningu dziennie. Nie jedna, dwie, tylko mówimy tutaj czasem o kilkunastu...



- Sportowcem jest się tak naprawdę całe życie - mówi Małgorzata Hołub-Kowalik.

Transformacja mistrzyni. O życiu po sportowej karierze

Sportowcem się jest tak naprawdę całe życie. To nie jest tylko ten czas podczas treningu. Można powiedzieć, że w normalnej pracy - mówię „normalnej”, bo uważam, że sportowcy mają nienormalną pracę - jest tak, że pracujemy od danej godziny do dodanej godziny, no i mamy to popołudnie dla siebie. A tutaj cały czas musimy myśleć o tym, żeby się zregenerować. Nie możemy pójść sobie na imprezkę, bo następnego dnia przecież mamy ciężki trening, więc, więc musimy być wypoczęci. Sportowiec cały czas dbać musi o nawodnienie, o jedzenie, więc to wygląda zupełnie inaczej niż w przypadku takich osób, które pracują na normalnych etatach. Inaczej to troszeczkę wyglądało, jak byłam w domu, właśnie poza zgrupowaniami. Wtedy mieliśmy tak poukładany plan, żebym mogła trenować tylko raz dziennie, no ale umówmy się, tych dni było niewiele.

Mamy życie wypełnione treningami, zabiegami, pracą też nad psychiką sportowca. I następuje ten moment, kiedy sportowiec na chwilę zatrzymuje swoją karierę

zawodową albo odchodzi ze sportu, bo już nadszedł jego czas. Dla mnie to jest diametralna zmiana życiowa.

Jest to bardzo trudny moment dla wszystkich sportowców. Najtrudniej podjąć decyzję. Nie ukrywam, że sama borykałam się z tym bardzo długo. I dopiero wtedy, kiedy potrafiłam sama przed sobą, przed lustrem powiedzieć, że już jestem na to gotowa, że już nie chcę tego robić, że jestem totalnie wypalona, że to nie sprawia mi przyjemności, wręcz przeciwnie - każde wyjście na trening mnie denerwowało i frustrowało, stwierdziłam, że to jest ten moment. Ale każdy przypadek sportowca jest inny. Niektórzy kończą dlatego, że pojawiają się kontuzje, więc są nie do końca spełnieni. W moim przypadku było tak, że ja jestem sportowcem w stu procentach spełnionym, więc myślę, że odeszłam w dobrym momencie. Natomiast podjęcie takiej decyzji mimo wszystko jest bardzo trudne. Trudne jest też zderzenie się z tą nową rzeczywistością, bo okej, trenowałam, biegałam przez dwadzieścia lat i właśnie przychodzi taki moment, że mam robić coś innego.

Gdy ktoś mnie pytał, co będę robić na sportowej emeryturze, mówiłam, że będę najszybciej doręczać pocztę ze wszystkich (śmiech). Ale już poważnie, to myślę, że wielu sportowców właśnie ma z tym problem, że ich poziom własnej wartości zależy od tego, czy mają wyniki sportowe. I to jest właśnie duży problem, kiedy już nie startujemy i nie mamy tych wyników sportowych.

Tu mówimy o tym takim psychicznym przestawieniu się z jednego życia na drugie. Ale są też jeszcze takie rzeczy bardzo praktyczne, czyli nasze ciało przyzwyczajone do określonej diety, do treningów po kilkanaście godzin w tygodniu czy nawet kilkadziesiąt. I nagle nie trzeba iść na ten trening i nagle można na śniadanie zjeść to, co się naprawdę lubi. Domyślam się, że to też jest trudne.

Z jednej strony tak, chociaż ja muszę przyznać, że jakoś diametralnie swojej diety nie zmieniłam. Zawsze wyznawałam zasadę, że po to tak ciężko trenuję, żebym mogła jeść to, na co mam ochotę. Wiadomo, że

w sportowym życiu bardziej zwracałam uwagę na to, żeby odżywiać się zdrowo i raczej tych niezdrowych rzeczy było mniej. Teraz też staram się odżywiać zdrowo. Zdarza się coś tam niezdrowego, ale to jest raczej w takim poziomie minimum. Chociaż faktycznie u wielu sportowców pojawia się taki moment, kiedy po zakończeniu kariery widać, że nagle stają się odrobinę więksi. Bo zapotrzebowanie kaloryczne mieli zawsze na bardzo wysokim poziomie, byli przyzwyczajeni do jedzenia bardzo dużych porcji, bo przecież „spalimy to na treningu”. A przecież nie ma już tych treningów.

A co z aktywnością fizyczną poza bieganiem za rosnącym dzieckiem? Ciągłe ma Pani jakiś plan treningowy?

Powinłam powiedzieć, że ciężko trenuję i że cały czas coś robię. Niestety, przyznaję się bez bicia, że byłam w takim momencie, że powiedziałam sobie „nie chce mi się nic robić, nic nie będę robiła” i odstawiłam w stu procentach sport na bok, co nie jest zdrowe i nie jest dobre. Natomiast powolutku wracam do tej aktywności, bo organizm

był cały czas do tego przyzwyczajony i zaczyna się go domagać.

A ma Pani jakiś plan? Czy to będzie dalej bieganie, czy może siłownia, pływanie?

Muszę przyznać, że ja jestem takim typem, który z jednej strony sobie mówi „nie będę biegała”, po czym leżę w łóżku i sobie mówię „pójdę sobie pobiegać” (śmiech). Zdecydowanie chciałabym spróbować różnych sportów. Nigdy nie jeździłam na nartach, bo to było zbyt kontuzjogenne, więc chciałabym pierwszy raz założyć narty na nogi. Byłam na zajęciach boksu, które były po prostu fantastyczne, każdemu bardzo polecam. Jeśli chodzi o siłownię, to z tym chyba mam największy problem, bo ja się przyznaję, że to nie jest moje ulubione miejsce i zawsze jak trenowałam, to mówiłam, że nienawidzę tego żelastwa i jak skończę trenować, nigdy na siłownię nie pójde. Natomiast z drugiej strony wiem, że dobrze wykonane ćwiczenia na siłowni są bardzo zdrowe i bardzo wspomagające, więc na pewno do siłowni wrócę, ale mam takie swoje dwa ćwiczenia, których po prostu nienawidziałam robić jako sportowiec i na pewno tych ćwiczeń nie będę robiła.

Porównajmy notatki, które ćwiczenia na siłowni są najgorsze?

Robiliśmy bardzo dużo ćwiczeń, takich dynamicznych, czyli rwanie sztangi w górę i tego ćwiczenia nie cierpię i robiliśmy wyciskanie takie na ławeczce, czyli ulubione ćwiczenie wszystkich mężczyzn. Ja tego nie cierpię i powiedziałam sobie, że jestem w tym totalnie słaba i nie, nie, nie, ja tego też na pewno nie będę robiła. Przy tej maszynie mnie państwo na pewno nie zobaczą.

Na koniec chciałam zapytać o córkę, czy dzisiaj, jak myślicie o malej, to widzicie ją w jakimś sporcie? Będziecie ją zachęcać, żeby coś trenowała?

Na pewno chciałabym, żeby spróbowała różnych sportów. Ale sport będzie musiała sobie wybrać sama. Nie chciałabym, żeby trenowała lekkoatletykę, bo nigdy nie chciałabym, żeby była porównywana do mnie, tylko żeby sama wybrała swoją drogę i robiła coś, co jej się podoba. Ale jeśli będzie chciała trenować lekkoatletykę, to oczywiście będę ją w tym wspierać, bo niełatwo ją zniechęcić. Ma charakter po mnie...

Czyli lubi rywalizację?

Plus zawziętość. To jest idealny materiał na sportowca.

Joanna Boron



- Przygotowanie to odpowiedzialność. Panika - to koszt - mówi Mateusz Niedbała, właściciel sklepu „Woda, Góry, Las”.

FOT. ROBERT WOŹNIAK

Strach, rozsądek i trochę smody - tak dziś wygląda polski survival. Od filtrów do wody po luksusowe zegarki, od hamaka w lesie po agregat w garażu. Między paniką a przygotowaniem rośnie nowe zjawisko: obywatelska potrzeba poczucia kontroli.

Sklep „Woda, Góry, Las” znajdujący się w Poznaniu wygląda jak gotowa mapa ucieczki w naturę - każdy metr to inny przystanek: woda, ogień, schronienie. Na półkach - filtry do wody, hamaki, batony energetyczne z długim terminem przydatności i lśniące palniki. Za ladą - człowiek, który patrzył na tę branżę dłużej niż trwa niejedna moda. - Prowadzimy sklep od dwudziestu lat - mówi Mateusz Niedbała, właściciel. - Widzieliśmy déjà vu strachu i falę rozsądku. Największy boom przyszedł w marcu 2022 roku, zaraz po wybuchu wojny w Ukrainie.

Piki, które mówią dużo

„Boom” - tak powtarza kilka razy. Najpierw wojna i puste magazyny w całej Europie: apteczki, folie NRC, zapalki sztor-mowe. Później mniejsze trzęsienia: doniesienia o dronach nad Polską, głośne medialne epizody, polityczne zapowiedzi.

- Widzimy wtedy detaliczne zakupy o dużej wartości: jedzenie liofilizowane, apteczki, filtry do wody. Media kształtują rynek informacji, a rynek informacji wprost przekłada się na koszyki - słyszę.

Nie jest to jednak wzrost liniowy.

- Po takich akcjach pojawiają się piki sprzedaży, a potem krzywa opada. Mam nadzieję, że dziś jesteśmy już po tym najwyższym punkcie. Trzy lata od wybuchu wojny ludzie patrzą bardziej z dystansem - stwierdza.

Podobne zjawisko obserwują też platformy sprzedażo-

we. Jak informuje biuro prasowe Allegro, na początku września zauważono gwałtowny wzrost zainteresowania produktami z kategorii militaria i samoobrona - od plecaków taktycznych, przez kuchenki turystyczne, aż po agregaty prądotwórcze.

W niektórych przypadkach liczba wyszukiwań i zakupów wzrosła kilkukrotnie w ciągu jednego dnia, po czym wracała do normy. Największy ruch notowano w południowo-wschodnich województwach. - Tego rodzaju skoki pojawiają się po każdej głośnej informacji i nie zawsze oznaczają trwały trend - zaznaczają przedstawiciele Allegro.

Ciekawostką jest też to, że obok sprzętu survivalowego w tym samym czasie rosło zainteresowanie... luksusowymi zegarkami i złotą biżuterią.

- Widać, że niektórzy klienci szukają także „bezpiecznych inwestycji” - przyznaje Allegro.

Z drugiej strony dane platformy pokazują, że Polacy coraz częściej wybierają odzież outdoorową i trekkingową - kurtki softshell, buty górskie czy białą termiczną - co potwierdza, że moda na przygotowanie łączy się z realnym powrotem do aktywności w naturze.

Co trafia do koszyków?

Jeśli wyobrażacie sobie, że klienci wynoszą z marketów taczki ryżu, jesteście... tylko trochę w błędzie. Dziś hitem jest żywność, która łączy dwa światy: przetrwanie i przyjemność.

- Jedzenie liofilizowane trzyma nawet pięć lat, a smakuje jak w schronisku. Dla turysty tatrzańskiego - kolacja na Rysach; dla rodziny - awaryjny obiad, gdy zabraknie prądu. Nic się nie marnuje - tłumaczy Mateusz.

Wymienia: „kurczak tikka masala”, „bigos”, „mus czekoladowy z wiśniami”, „owsianka z jabłkiem i cynamonem”.

W tle ktoś dorzuca: „sernik ba-skijski też jest!”. Brzmi jak menu bistro, a nie arsenał na czarną godzinę. Do tego filtry do wody - „modny temat, ale też kwestia świadomości” - i hamaki. Nie te ogrodowe, tylko lekkie, wytrzymałe, do lasu.

- Biwakowanie na hamakach, ognisko, strefy w Lasach Państwowych do legalnego nocowania - to wraca. Trochę moda, trochę tęsknota za naturą - podkreśla.

Kolejna półka to „energetyka”: powerbanki, latarki, czasem agregaty prądotwórcze. - To oczywiście nie jest sprzęt do mieszkania w bloku, ale na wsi, przy braku zasilania - bywa zbawienny - zaznacza.

Plecak ewakuacyjny nie załatwia sprawy

Na słowa „plecak ewakuacyjny” Mateusz lekko się uśmiecha.

- Kupno plecaka nie załatwia sprawy w całości. Jeśli ktoś ma rodzinę, to tak naprawdę musi mieć trzy plecaki. I przede wszystkim - umieć ich używać - mówi.

Mit „kupuję set i jestem gotowy” bierze się z napięcia informacyjnego i marketingu.

- Strach napędza zakupy. A emocje są złym doradcą. Zadzajmy sobie pytanie: czy naprawdę chcemy się realnie boimy? I zabezpieczmy właśnie to - wskazuje Mateusz.

Głos rozsądku słyhać też w Militaria.pl, gdzie - jak mówi Paweł Juraszek - „klienci działają racjonalnie i zgodnie ze swoimi potrzebami”. Sklepy przygotowują się na wzrosty zainteresowania po medialnych doniesieniach o blackoutach czy dronach, ale, jak podkreśla, „najlepiej kupować i testować sprzęt z wyprzedzeniem, zanim zrobi to tłum”.

Według Juraszka, w zestawie 72-godzinny dla niewielkie pieniądze powinny się zna-

leż: filtr do wody, krzesiwo, żywność liofilizowana i radio na korbkę. A najpraktyczniejszy produkt do 50 zł? - Nóż z krzesiwem - odpowiada bez wahania.

Z jego doświadczenia wynika, że ludzie kupują sprzęt bardziej z myślą o odpowiedzialności niż panice: - Nie obserwujemy zwiększonej liczby zwrotów. Coraz więcej osób przygotowuje plecaki ewakuacyjne dla siebie i bliskich, a potem sprawdza sprzęt w terenie. Chodzi o to, żeby umieć go używać, nie tylko posiadać.

Co się zatem naprawdę przydaje? Lista brzmi zwyczajnie: dokumenty (także kserokopie) - dyplomy potwierdzające wykształcenie, ale też akty notarialne, gotówka, naładowany powerbank, latarka, woda, apteczka i leki przyjmowane na stałe, spis kontaktów na kartce, małe radio (najlepiej z korbką lub na baterie).

- Wyobraźmy sobie banalną scenę: wychodzisz z plecakiem i... stoisz na przystanku, gdzie tramwaj nie jeździ. Co dalej? Plan rodzinny. Ustalenie miejsca spotkania, sposobu kontaktu przez pośrednika, jeśli się padnie. To daje spokój, a spokój daje rozsądek - mówi Mateusz.

Miasto to nie puszcza

Ważny jest kontekst miejsca.

- W mieście mamy obronę cywilną, służby, zasoby. To nie będą czasy, jak sto lat temu, że idziemy w las i rozpalamy ogień krzesiwem. Realnie: przez kilka dni trzeba przetrwać w mieszkaniu. Na wsi, inaczej: być może częściej zabraknie prądu, warto pomyśleć o ogrzewaniu, o wodzie, o paliwie - wymienia.

Na pytanie, czy nie lepiej uczyć się rozniecania ognia krzesiwem, pada śmiech.

- To fajna umiejętność, ale z doświadczenia wiemy, że w praktyce ludzie często nie są w stanie tego zrobić nawet w słoneczny dzień. Zapałki sztormowe w małym pudełku - to bywa rozsądniejsze. Najprostsze rozwiązania są dobre - podkreśla.

Juraszek z Militaria.pl dodaje: - Nie ma jednego „zbędnego” elementu plecaka ewakuacyjnego. Wszystko zależy od sytuacji - inny zestaw przyda się w mieście, inny nad rzeką czy zimą. Ale kluczowe jest jedno: sprzęt trzeba znać i regularnie sprawdzać”.

Panika jest drogą donikąd

Pandemia koronawirusa została nam mem z papierem toaletowym i - jak się okazuje - pełne baniaki płynu do dezynfekcji. - Do dziś mam cztery i pół litra z pięciolitrowego kanistra - przyznaje sprzedawca. - To nie tędy droga. Lepiej rotować zapasy: mieć trzy ulubione dania w szafce, zjadać i uzupełniać. Zamiast wózka



makaronu, który i tak się nie przeje.

To prosty, zdroworozsądkowy „prepping”: jadamy to, co lubimy i używamy na co dzień, tylko trzymamy niewielki bufor. A liofilizaty? - Świetne jako uzupełnienie. Nic się nie zmarnuje, bo zabierzemy w góry - mówi.

Oprócz strachu jest jeszcze dopalacz paniki: dezinformacja i reklamy „na granicy etyki”.

- Na Facebooku widziałem ogłoszenie: „W Polsce wybuchnie wojna - grzyb atomowy”. Pod spodem link do radyjka na korbkę. Zgłaszaliśmy to do CERT-u. I co? Rozłożyli ręce. Za pieniądze można w legalny sposób napędzać lęk - opowiada jeden ze sprzedawców, Mikołaj.

Mateusz dokłada inną obawę: - Najgorsze byłoby odcięcie internetu. Ludzie mają telefon przy sobie jak wyrocznie. Bez map, bez bankowości, bez komunikatorów - panika mrowiona. Dlatego uczymy dzieci i... siebie samych podstaw: mapa, kompas, rozkład jazdy bez aplikacji.

Tu pojawia się wątek harcerstwa. - ZHP to kapitalna szkoła samodzielności. W Wielkopolsce jest około piętnastu tysięcy harcerzy. Uczą się rozpałać ogień, czytać azymut, jeździć PKS-em, popęniać błędy i wyciągać wnioski. To daje realną sprawczość - podkreśla Mateusz.

Gminy też kupują

Prywatny popyt to jedno, publiczny - drugie. Ostatnie miesiące przyniosły wysyp zapytań ofertowych z gmin.

- Weszły nowe przepisy dotyczące obrony cywilnej, zada-

nia spadły bliżej ludzi - na samorządy. Gminy robią inwentaryzację: ile mamy sal, ile miejsc, ile agregatów, namiotów, śpiworów, nagrzewnic. Zamówienia płyną. Niektóre urzędy dzwonią z prośbą „na już”, bo boją się, że zaraz towaru zabraknie - mówią sprzedawcy.

Brzmi jak dobra wiadomość, ale na horyzoncie widać też ryzyko: sezonowość i... spekulacja.

- Po sezonie turystycznym magazyny dystrybutorów są puste. Gmina zamawia sto dwieście śpiworów, a u dystrybutora leży pięćdziesiąt. Im-

port potrwa. W takich momentach rynek zalewają tanie, słabe jakościowo rzeczy z zawyżonymi parametrami. Ktoś, kto nie siedzi w temacie, łatwo się nabierze. Widzieliśmy to przy covidzie - zauważa Mateusz.

Moda kontra odpowiedzialność

Czy więc „szał na survival” to moda? Odpowiedź jest jednoznaczna - jak prawie wszystko po 2022 roku. Z jednej strony rośnie popularność hamaków, bushcraftowych weekendów „tata i dziecko”, kursów przetrwania.

- To nie jest nowe. To wraca falami. Dziś pewnie mocniej, bo ludzie chcą oddechu od all inclusive i ekranów - słyszę.

Z drugiej - jest realna potrzeba podstawowego przygotowania.

- Nasz czas nie jest spokojny, warto mieć w domu pewne rzeczy i pewne schematy. Ale robmy to na chłodno. Mamy klientów „panikarzy” i mamy klientów „spokojnych”. Z tymi drugimi rozmawia się o planie, o rotowaniu zapasów, o tym, że lepiej kupować teraz, w ciszy, niż w tłumie, gdy wydarzy się coś głośnego - mówi Mateusz.

Granica między rozsądkiem a przesadą bywa cienka. Krzesiwo i maczeta w miejskim plecaku?

- Brzmi efektownie, ale w mieście ważniejsza będzie kartka z numerami, mała latarka i gotówka. A jeśli ktoś marzy o życiu w lesie - niech najpierw prześpi noc w hamaku na legalnej strefie i sprawdzi, czy to w ogóle dla niego - radzi.

Skąd to wszystko? Może z poczucia chwiejnej epoki. Stan wojenny pamiętają nieliczni, ale jego cień wraca w opowieściach. Pandemia przypominała, że łańcuchy dostaw potrafią się zatkać. Wojna obok przesunęła granice wyobraźni. A jednak codzienność - przysłowiowa wizyta w Czerwonaku „miejskim autobusem” - pokazuje, że żyjemy w kraju z infrastrukturą, służbami, zasobami.

- To nie te czasy, by koczować w lasach - mówi Mikołaj. - Jeśli trzeba będzie się ewakuować, są pociągi, są miejsca, są ludzie. Widzieliśmy to, gdy na dworcach w całej Polsce harcerze i wolontariusze prowadzili punkty pomocy. System bywa przeciążony, ale działa lepiej, niż nam się wydaje.

Do sklepu wchodzi pierwszy klient. Ktoś pakuje „kuskus wegański z warzywami”, ktoś pyta o filtr grawitacyjny, ojciec z synem przymierza hamak. Po dwóch dekadach w branży Mateusz patrzy spokojniej niż jego klienci.

- Przygotowanie to odpowiedzialność. Panika - to koszt. A moda? Jeśli sprowadza ludzi do lasu i uczy ich samodzielności - niech będzie. Byłe bez grzybów atomowych w reklamach - zaznacza.

Justyna Piasecka-Gabryel



Plecak ewakuacyjny powinien zawierać sprzęt, którym potrafimy się posługiwać.

Lodzianin Sebastian Wiślicki rozmawia z rodzinami pacjentów od których lekarze mają pobrać narządy do transplantacji. Od 18 lat pracuje jako koordynator do spraw przeszczepów.

Jak wygląda rozmowa z rodziną pacjenta ze stwierdzoną śmiercią mózgu?

Rodzina jest już uprzedzona przez lekarza o tym, w jakim stanie jest ich bliski. Wiedzą, że wysunięto takie podejrzenie i trwa diagnostyka. Często zdają sobie sprawę, że będziemy z nimi rozmawiać o transplantologii. Rozmawiam z nimi lekarz z oddziału intensywnej terapii, który bierze udział w orzekaniu śmierci mózgu oraz koordynator transplantacji.

Dlaczego ludzie nie wyrażają zgody na pobranie narządów?

W polskim prawie chodzi przede wszystkim o wolę zmarłego za życia. Pracuję jako koordynator ponad 18 lat i wydaje mi się, że świadomość społeczna jest coraz większa, dzięki różnym akcjom medialnym ludzie wiedzą, że są sytuacje gdzie po rozpoznaniu śmierci mózgu chorego uznaje się za zmarłego pomimo, że jest podłączony do monitora, bije jego serce, jest ciepły i ma naturalny kolor, chociaż często tą temperaturę ciała musimy już na tym etapie utrzymywać sztucznie a oddech jest zastąpiony przez maszynę. Zawsze jest pewien odsetek społeczeństwa który nie wyraża zgody i zdecydowanie się sprzeciwia, najczęściej nie argumentują swojej decyzji mówiąc nie bo nie, chcą pochować swojego bliskiego w całości.

W jaki sposób staracie się przekonać rodziny?

W tej chwili w całym kraju ok 1800 osób czeka na przeszczep narządu i dodatkowo ok 3000 na przeszczep rogówki. Przy niewydolności nerek pacjenci mają czas, mogą się dializować ale przy niewydolności wątroby np. po zatruciu grzybami, przy niewydolności serca czy płuc często są w stanie zagrożenia życia i tylko pilny przeszczep może im to życie ocalić. Jako biorców w pierwszej kolejności kwalifikuje się właśnie pacjentów którzy jeśli nie dostaną przeszczepu w krótkim czasie to umrą i żadne urządzenie medyczne nie będzie w stanie im życia uratować. To jest ten kluczowy argument którego używamy. Podobnie wśród osób oczekujących na przeszczep rogówki, u części z nich jeśli szybko nie wykona się transplantacji, mogą stracić wzrok na zawsze. Ważnym ar-



Sebastian Wiślicki – koordynator do spraw przeszczepów.

Pytanie, które... ratuje życie

gumentem jest również to że kościół katolicki jest za transplantacjami, nie zabierając narządów do nieba, one są potrzebne tutaj na ziemi.

Czy zdarza się że rodzina zgadza się na pobranie narządów z wyjątkiem np. serca?

Tak w swojej praktyce kilka razy spotkałem się z taką prośbą, w naszej kulturze serce często ma szczególne znaczenie jako „dom duszy”, w takich przypadkach szanujemy prośbę rodziny.

Co w przypadku kiedy jeden z członków rodziny jest za pobraniem a drugi zdecydowanie się temu sprzeciwia?

Jeszcze raz chciałbym podkreślić, że w polskim prawie chodzi przede wszystkim o wolę zmarłego za życia, w takim przypadku prosimy żeby wszyscy brali to pod uwagę, jeśli mamy czas to dajemy rodzinie trochę czasu żeby przemyśleli tą decyzję, oswoili się z tą sytuacją, niekiedy kila godzin wystarczy żeby bliscy otrząsnęli się z szoku i bardziej racjonalnie mogli podjąć decyzję. Choć trzeba tutaj powiedzieć, że nie zawsze mamy ten czas. W chwili gdy mózg obumiera dość szybko dochodzi do dezintegracji neurohormonalnej i całego organizmu, układ krążenia choć wspomagany farmakologicznie działa coraz gorzej i serce w każdej chwili może przestać bić co uniemożliwi pobranie narządów.

Zależy nam żeby rodzina zgodnie pojęła decyzję, życie toczy się dalej i nie powinno to być na przyszłość powodem kłótni, wzajemnych pretensji czy rozpadu relacji rodzinnych. Działamy po dobrej stronie.

Ile osób mogą uratować pobrane narządy od osoby ze stwierdzoną śmiercią mózgu?

Policzmy. Serce, nerki (każda do innego biorcy), wątroba, płuca, trzustka (często przeszczepiana jednocześnie z jedną nerką osobom które mają uszkodzone nerki w wyniku cukrzycy. Należy pamiętać, że od osoby zmarłej można pobrać również fragmenty skóry, robi się to z części ciała które są niewidoczne jak zmarły będzie ubrany, robi się to również po akceptacji rodziny. Ta skóra wbrew pozorom również ratuje życie i jest przeznaczona dla mocno poparzonych pacjentów z Siemianowic Śląskich. Niestety nie często się zdarzają takie pobrania wielonarządowe gdyż wymaga to dość surowych kryteriów medycznych. Najczęściej pobierane są nerki z wątrobą. I tak jak wspominałem wcześniej oprócz ratowania życia ratujemy też jego jakuś. W tej chwili w naszym mieście trzy ośrodki przeszczepiają rogówki. W naszym województwie ok 300 osób oczekuje na ich przeszczep, jedni mogą czekać, inni wymagają przeszczepu pilnie.

Co znaczy pojęcie śmierć mózgu?

Wbrew powszechnej opinii do śmierci mózgu nie dopro-

wadza najczęściej wypadki motocyklowe czy inne urazy, najczęstszą przyczyną są masywne dewastujące krwotoki wewnątrzczaszkowe np. z pękniętych tętniaków. U pewnego odsetka pacjentów obrzęk mózgu po takim krwotoku jest na tyle duży (pomimo intensywnego leczenia), że ciśnienie które powstaje w czaszce mówiąc w uproszczeniu zaciśka wszystkie naczynia którymi w normalnych warunkach przepływa krew, powodując jego dramatyczne niedokrwienie i jego zniszczenie. Większość osób jest w stanie zrozumieć że jeśli przez jakiś narząd zupełnie nie przepływa krew to ten organ obumiera, szczególnie jeśli jest to mózg tak wrażliwy na niedotlenienie. W procesie diagnostyki często wykonuje się badanie obrazowe które właśnie wykazuje brak krążenia, ale to tylko jeden z etapów badania. Cały proces trwa najczęściej kilka lub kilkanaście godzin i algorytm postępowania jest dokładnie określony przez polskie prawo. We wszystkich krajach rozwiniętych jest tak że jeśli komisja lekarska rozpozna śmierć mózgu to jest to równoznaczne z formalnym stwierdzeniem zgonu.

Jakie jest prawo w naszym kraju dotyczące zgody albo sprzeciwu na pobranie narządów?

W Polsce istnieje prawo zgody domniemanej. Oznacza to, że człowiek za życia może wyrazić swój sprzeciw na pobranie narządów czy tkanek

po śmierci a jeśli tego nie zrobi to zakładamy, że się zgadza. Swoją sprzeciw można wyrazić na trzy sposoby: w obecności dwóch świadków np. przy niedzielnym obiedzie, pisemnie na kartce i zaopatrzyć w swój podpis przy czym nie musi to być poświadczane notarialnie i trzeci sposób to jest wpis w tzw Centralnym Rejestrze Sprzeciwów za pośrednictwem Poltransplantu. Oczywiście w procedurach przeszczepowych przestrzegamy ściśle prawa jednak czynnik ludzki i emocjonalny jest dla nas również ważny. Zdajemy sobie sprawę, że rodzina osoby zmarłej

często nagle znajduje się w ciężkiej sytuacji, traci najbliższego członka rodziny dlatego w decyzji o kwalifikacji do przeszczepu zawsze również bierzemy pod uwagę wolę rodziny.

Co jest najtrudniejsze w pracy koordynatora? Pana rola nie kończy się przecież na rozmowie z rodziną potencjalnego dawcy...

Praca jest odpowiedzialna i obciążająca psychicznie ale myślę, że najtrudniejszy jest kontakt z rodzinami potencjalnych dawców z ich stresem i cierpieniem.

W procesie kwalifikacji i diagnostyki dawców, orzekaniu śmierci mózgu, pobraniu i przeszczepu narządów oraz opieki nad biorcami zaangażowanych jest kilkadziesiąt osób oraz Poltransplant czyli państwowa organizacja która nadzoruje przeszczepy w naszym kraju. Rolą koordynatora ds. przeszczepów jest między innymi koordynowanie i działań tych zespołów i wymiana między nimi informacji ale również opieka nad dawcą i udział w organizacji badań.

Kto może być koordynatorem ds. przeszczepów?

Może zostać nim osoba z wyższym wykształceniem medycznym najczęściej jest to lekarz lub pielęgniarka często z doświadczeniem pracy w intensywnej terapii, która ukończyła odpowiedni kurs organizowany przez Poltransplant lub ukończyła studia podyplomowe organizowane przez niektóre uczelnie medyczne.

Pamiętajmy, że każdy z nas może kiedyś być po tej drugiej stronie i czekać na ten dar życia jakim jest przeszczep narządu.

Liliana Bogusiak- Józwiak



W szpitalu im. Barlickiego wykonuje się przeszczepy nerek od blisko 30 lat.

Koronawirus nie lubi takiej diety

O diecie wzmacniającej odporność myślimy, gdy padamy ofiarą infekcji. Chcemy wiedzieć, co jeść, by szybciej wyzdrowieć. Jednak jedyna skuteczna metoda to dieta stosowana wcześniej.

Wobronie organizmu przed koronawirusem może pomóc dieta o działaniu przeciwpalnym i regulującym funkcje układu immunologicznego.

Największy wpływ mamy jednak na samo ryzyko zakażenia, bo gdy już do niego dojdzie, zdrowe menu nie jest już tak skuteczne. Wskazują na to wyniki badania omówione w piśmie „PLOS One”, którego autorami są indonezyjscy naukowcy.

Zdrowa dieta ma niebagatelny wpływ na działanie komórek w obronie organizmu przed koronawirusem i to, jak zachowuje się on w organizmie. COVID-19 powoduje stan zapalny, którego nasilenie ma ważną rolę w rozwoju choroby i jej nasileniu.

Najbardziej niebezpieczną sytuacją podczas infekcji jest silna odpowiedź przeciwzapalna układu odpornościowego ze zwiększoną produkcją białek cytokin. Tak zwana burza cytokinowa może przyczynić się do ciężkich zakażeń i poważnych powikłań.

W swoim przeglądzie systematycznym badań naukowcy skupili się na wpływie diety w stylu śródziemnomorskim na ryzyko rozwoju COVID-19, jego objawy i to, jak ciężka jest infekcja.

Ze względu na jakość prac z ponad dwustu wybrano sześć. W czterech z nich wykazano znaczący związek między dość skrupulatnym stosowaniem diety śródziemnomorskiej i obniżonym zagrożeniem zachorowania na COVID-19, w jednej

uznano tę zależność jako nieznaczącą.

Ponadto w jednym badaniu udokumentowano ważny związek między przestrzeganiem diety i lżejszymi objawami infekcji, ale w trzech nie były one znaczące. W jednym udokumentowano też zmniejszone prawdopodobieństwo zachorowania na ciężki covid, choć dwa inne na ten temat uznały te wnioski za niespójne.

Co jeść, żeby nie chorować na COVID-19?

Autorzy pracy przyjrzyli się kwestionariuszom osób, które najbardziej stosowały się do diety w stylu śródziemnomorskim. Stwierdzili, że działa ona ochronnie, gdy zawiera:

- większe ilości oliwy z oliwek;



Jaka dieta jest skuteczna na covid-19? Taka, którą stosuje się zanim jeszcze dojdzie do zakażenia koronawirusem.

- mniej czerwonego mięsa;
- mniej płatków zbożowych;
- więcej orzechów;
- więcej owoców;
- małe porcje wina.

Natomiast spożywanie większych ilości w posiłkach owo-

ców, warzyw, orzechów, nasion roślin strączkowych, ryb i pełnych ziaren zbóż wiązało się ze mniejszym nasileniem infekcji koronawirusem. Ważne jednak, by dostarczać je sobie codziennie możliwie w każdym posiłku.

Wymienione składniki to bogate źródło składników o potwierdzonym działaniu wspierającym obronę przed wirusem, takie jak witamina C, flawonoidy, jedno- i wielonienasycone kwasy tłuszczowe.

Stosowanie tej zdrowej i bogatej odżywczo diety to jedna ze strategii ochrony organizmu przez zakażeniem wirusem SARS-CoV-2, choć jej wpływ podczas infekcji pozostaje kwestią nierozstrzygniętą. Lepiej jednak zapobiegać niż leczyć, a model menu w stylu śródziemnomorskim to skuteczna ochrona również przed wieloma innymi chorobami i najzdrowsza dieta na świecie roku 2024, ale także z lat poprzednich.

Dieta śródziemnomorska

Badanie obejmujące Grecję, Japonię, Finlandię, byłą Jugosławię, Włochy, USA i Holandię dostarczyło informacji, że dieta śródziemnomorska jest modelem żywieniowym, który zapobiega zawałowi serca. Założenia diety śródziemnomorskiej są proste, a potrawy bardzo smaczne. Charakteryzuje się dużym spożyciem świeżych warzyw i świeżych owoców. Wskazane są produkty dostarczające węglowodanów złożonych i błonnika, a te zawarte są w pełnoziarnistych produktach zbożowych i nasionach roślin strączkowych. **(MS-O)**

REKLAMA

SYLWESTER 2025/2026

SZALONE 20^{TKI}

LATA DWUDZIESTE DZIŚ
I 100 LAT TEMU

DOUBLETREE
by Hilton
LODZ

Zapraszamy na wyjątkowy Bal Sylwestrowy, gdzie magia lat 20. XX wieku spotka się z energią współczesności.

W programie:

- Scenografia w stylu retro, ożywiona współczesną technologią
- Widowiskowe akrobacje i pokazy tańca w wykonaniu artystów Teatru V6
- Spektakularne wykonania znanych przebojów w ponadczasowych aranżacjach
- Wykwintna kuchnia i stacje kulinarne inspirowane smakami sprzed 100 lat
- Bogaty wybór klasycznych drinków i koktajli w świeżej odsłonie
- Wspólne odliczanie do północy i powitanie Nowego Roku w wielkim stylu
- Zabawa do białego rana z DJ-em i muzyką, która porwie na parkiet



Rezerwacja i szczegóły:

✉ sylwester@doubletreelodz.pl

☎ tel. 690 806 023

0011420782

5 listopada swoją premierę będzie miał w serwisie Netflix nowy polski serial - „Heweliusz”. Jest to fabularyzowana opowieść o najtragiczniejszej katastrofie w historii Polskiej Żeglugi Morskiej. Główną rolę w serialu gra Borys Szyc. Popularny aktor odsłania przed nami kulisy tej wyjątkowej produkcji.

A man with short, light brown hair and a light beard is wearing a blue and white vertically striped button-down shirt. He is pointing his right index finger directly at the camera. The background is a solid blue wall with faint, repeating logos of the Berlin International Film Festival (a bear) and the text "International Filmfestspiele Berlin".

Tak. Jola i Agnieszka otrzymały serial i widziały całość. Dostałem od nich potem niezwykle wzruszające wiadomości, które pokazują, jak to mocno na nie zadziało. Że nie spodziewały się, iż po 30 latach związane z tym emocje będą tak silne, zwłaszcza

W piątek (24 października) zaczął się II sezon Parku Miliona Świateł w Orientarium. W porównaniu do poprzedniego roku na wystawie „Magiczne Zwierzęta” sporo się zmieniło. I to na lepsze.



**W Elektrowni Karola Scheiblera
w Fuzji, powstała**

- podobnie jak przed rokiem
- wyjątkowa farma dyni.

**Industrialne wnętrza dawnej
kotłowni zamieniły się w złocistą,
pachnącą sianem krainę.**



**Sąd ogłosił bankructwo spółki
Apartamenty Tuwima, która miała
w Łodzi wybudować Tuwima Sky,
czyli pięć 16-piętrowych
wieżowców z 874 mieszkaniami,
lokalami handlowo-usługowymi.
Na zdjęciu wjazd na budowę,
której nie będzie.**

u Joli. To dla mnie niezwykle ważne w tej całej układance, którą stworzyliśmy, że oddaję swą rolę hołd tej osobie, która poszła na dno razem ze swym statkiem.

Czuł pan na sobie wyjątkową odpowiedzialność za takie pokazanie kapitana, żeby to była filmowo pełnokrwista postać, a jednocześnie jego żona i córka zobaczyły na ekranie swego męża i ojca?

Starałem się zrobić to, jak najlepiej potrafiłem, zwłaszcza mając na uwadze to, że ostatecznie nasz serial jest fabularny, jedynie inspirowany prawdziwymi wydarzeniami. Po zakończeniu zdjęć Agnieszka spytała mnie, czy myślę, że to właśnie tak było w jego ostatnich chwilach, jak pokazaliśmy w serialu. Oczywiście miało to retoryczny ton, ale było świadectwem tego, że ona wypierała to tyle czasu i nie dopuszczała do siebie myśli, jak to mogło wyglądać, a teraz zobaczyła to na ekranie. To musiało zrobić na niej ogromne wrażenie. Zresztą podobnie było ze mną. Kiedy oglądałem scenę śmierci kapitana na monitorze, to miałem po prostu łzy w oczach. Kiedy bowiem człowiek wyobrazi sobie, jak to mogło być, to jest potwornie wzruszające.

Nie miał pan łatwego zadania, bo tak jak pan wspominał, w scenariuszu Kasprowa Bajona kapitan Ułasiewicz to główny bohater serialu, ale tak naprawdę pojawia się w niewielu scenach. Spodobało się panu takie przedstawienie tej postaci?

Rozmawiałem z Kasprem i wiedziałem, jaki jest jego zamysł. Uznałem, że to będzie ciekawe: skupić się na postaci, która jest poboczna i nagle okazuje się być pierwszoplanową. Mam tu na myśli bohatera, którego gra Konrad Eleryk. Tymczasem główną postać, czyli kapitana Ułasiewicza, jest obecny duchem w każdym odcinku, ale na ekranie oglądamy go tylko na początku i na końcu. Zacząłem przygotowania do zagrania tej postaci od odsłuchania nagrania audio



FOT. MATPRAS.NETFLIX/ROBERT PAKKA

ze statku, w którym kapitan wzywa pomocy. Są tam liczne zakłócenia, jest ten szum, ale słychać, jak ludzki głos przedziera się przez nie i woła: „Mayday! Mayday!”. To coś poruszającego. Słuchając tego, miałem zaciśnięte gardło. Wyobraziłem sobie, jak musiał się czuć kapitan, wiedząc, że nie ma wyjścia i musi nadać taki komunikat. Pokazujemy to w naszym serialu - i te sceny z kapitanem mają tak ogromny ładunek emocjonalny, że wystarczyło ich kilka, aby ułożył się z nich jego wyrazisty portret.

Jakim doświadczeniem było dla pana zagranie sceny śmierci kapitana, kiedy naprawdę woda podchodziła panu do ust?

To było ciężkie przeżycie od strony emocjonalnej i fizycznej. Wchodziłem do gigantycznej scenografii odwróconego już statku, która zjeżdżała 9 metrów w dół i była prawie cała zanurzona w wodzie. I w tym momencie, kiedy jestem uwięziony na mostku i woda mi się powoli zbliża do głowy, wyobraziłem sobie, jak musiał się czuć kapitan, wiedząc, że za chwilę złapie ostatni oddech i dalej nie będzie już nic. To było coś przerażającego i poruszającego. Nikomu tego

nie życzę. Nakręcenie tego było bardzo trudne.

Jak powstawały sceny kręcone na tonącym promie?

Pierwsze zdjęcia, kiedy statek zaczyna się powoli przechylać, kręciliśmy na hali w Warszawie. To były te sekwencje, w których ten przechył miał jakieś 30 stopni. Potem, kiedy miał sięgać 75 i 90 stopni, pojechaliśmy pracownię emocjonalny basen, w którym ogromne dźwigi uzyskiwały ten efekt. Do tego trzeba było pokazać ten potworny sztorm: my, aktorzy, siedzieliśmy w środku, a w szyby waliły tony wody, do tego dookoła zbudowane były ekrany ledowe, na których pokazywano nagranie wychodzenia promu z portu w nocy. Mózg był więc atakowany ze wszystkich stron i absolutnie oszukany. Zanim zaczęliśmy zdjęcia, byłem na prawdziwym promie płynącym ze Szczecina do Ystad i przyglądałem się na mostku, jak wygląda wychodzenie z portu. Nagrałem sobie wszystko - i kiedy musiałem to odtworzyć na planie, nie było w tym żadnej różnicy dla mojej głowy. Miałem poczucie, że jestem na promie, on rusza, skręca i płynie. Iluzja była niezwykle.

Jak pan sobie radził z tym przechylem, wodą i z wiatrem?

Byliśmy tym wykończeni. Po 12 godzinach kręcenia w takim przechyle, w ogromnej wilgoci i gigantycznym hałasie, bo wszystko było napędzane wielkimi wiatrakami i pompami, miało się wszystkiego dość. Zanim weszliśmy na plan, mieliśmy treningi w Mszczonowie na najgłębszym basenie do nurkowania w Polsce, który ma ponad 45 m w dół. I dla mnie najtrudniejszy fizycznie doświadczeniem był moment utonięcia kapitana Ułasiewicza i opadania ciała bez wydychania tlenu. Nie mogłem wypuszczać z nosa bąbelków, tylko opadać na całkowitym bezdechu. Musiałem więc nauczyć się mieć w płucach tyle powietrza, żeby wytrzymać kilkanaście sekund, ale na tyle mało, aby swobodnie opadać w dół jakieś 7 metrów, będąc lekko obciążonym.

Myślałem, że to kaskader gra.

Nie. Ja to wszystko robiłem sam.

To dlatego powiedział pan: „Pokonałem przy tym serialu wiele swoich strachów”?

Tak. Kiedy byłem małym chłopcem, topiłem się, lęk przed wodą był więc jednym z moich największych w życiu. Pokonałem go już częściowo wcześniej, biorąc udział w Iron Manie, gdzie musiałem płynąć w zatoce w Gdyni. Nurkowanie w wodzie zawsze jednak wiązało się u mnie ze strachem. Za każdym razem przewijały mi się wtedy w głowie kadry z tych różnych filmów katastroficznych. A tutaj musiałem tego na żywo doświadczyć i przeżyć. Pomogły mi to przełamać zajęcia z nurkami i kaskaderami. Ćwiczyliśmy nawet w Belgii na dzień przed kręceniem tej sceny z użyciem liny, która była przypięta 9 metrów w dół. Dlatego kiedy potem grałem to na planie, czułem się już pewnie.

Paweł Gzyl

Ten nasz niezwykle motoryzacyjny świat

MAZDA PREZENTUJE DWA NOWE MODELE

Mazda zaprezentowała dwa modele koncepcyjne: Mazda Vision X-Coupe i Mazda Vision X-Compact („X” wymawiane jako „cross”). Te auta pokazują Mazda Vision X-Coupe to sportowe coupé, które stanowi dalszą ewolucję języka stylistycznego „Kodo - Dusza Ruchu”. Jest napędzane hybrydowym układem typu plug-in, łączącym dwutorowy silnik Wankla z turbodoładowaniem i silnikiem elektrycznym i akumulatorem. Jak w przyszłości mogą wyglądać modele japońskiego producenta. Dzięki mocy 510 KM pojazd oferuje zasięg 160 km w trybie wyłącznie elektrycznym i do 800 km w trybie hybrydowym.



FOT. MAZDA

Ponadto, dzięki połączeniu paliwa neutralnego pod względem emisji dwutlenku węgla pozyskiwanego z mikroalg z opatentowaną przez Mazdę technologią wychwytywania CO₂ w czasie jazdy „Mazda Mobile Carbon Capture”, pojazd tym bardziej przyczynia się do zmniejszenia emisji CO₂ do atmosfery, im częściej jest użytkowany. Mazda Vision X-Compact to kompaktowy samochód miejski. Działając podobnie jak bliski towarzysz podróży, samochód jest w stanie prowadzić naturalną rozmowę i sugerować miejsca docelowe, pomagając poszerzyć świat kierowcy. Odzwierciedla to wizję Mazdy dotyczącą przyszłości inteligentnej mobilności, w której pojazdy i ludzie tworzą emocjonalną więź, podobną do szczerej relacji między ludzką - tak w komunikacji pisze o nim Mazda.

(motofaktv.pl)



Mazda Vision X-Coupe (u góry) i Mazda Vision X-Compact

FOT. MAZDA



FOT. PSP/PABIANICE

BYŁ PO KOKAINIE...

Będący pod wpływem kokainy sprawca śmiertelnego wypadku na al. 600-lecia Miasta Łodzi usłyszał zarzuty, za które grozi mu do 12 lat więzienia. Do tragicznego wypadku doszło w minioną niedzielę. 47-letni mieszkaniak pow. bełchatowskiego pędził mercedesem z nadmierną prędkością od ul. Rzgowskiej w kierunku ul. Brójcekiej. Nagle zjechał na przeciwny pas jezdni i zderzył się czołowo z oplem corsą. 31-letni kierowca corsy zginął na miejscu, a 32-letnia pasażerka (oboje z pow. tomaszowskiego) z ciężkimi obrażeniami trafiła do szpitala.



10 najemców mieszkań w kamienicy przy pl. Wolności 6 wytoczyło proces właściciela budynku o nierozliczone rachunki za wodę. Lokatorzy założyli stowarzyszenie i skierowali do sądu 10 pozwów. Trzy procesy już się rozpoczęły.

FOT. KRZYSZTOF SZYMCHAK

W pierwszej fazie wojny na Atlantyku niemieckie okręty podwodne odnosiły ogromne sukcesy. Nie przygotowani do tej walki alianci tracili bardzo dużo statków handlowych. I tak, np. między 6 a 20 marca 1943 trzy „wilcze stada” składające się z 37 U-bootów zatopiły 21 statków tracąc jeden okręt.

Marzec 1943 roku był dla aliantów przełomowy. Tylko w tym miesiącu stracili łącznie 650 tysięcy ton zatopionych przez U-booty. Była to ilość paraliżująca dostawy sprzętu z USA do Europy.

Zastanowiono się nawet czy nie przerwać systemu konwojów i nie powrócić do samotnych rejsów statków transportowych. Spowodowałoby to jednak znaczny spadek ilości przewożonego sprzętu. A takiej sytuacji nie można było zaakceptować.

Prace jakie prowadzono w Wielkiej Brytanii i USA pozwoliły jednak już w następnym miesiącu zmienić klęskę w decydujące zwycięstwo. Udoskonalono systemy wykrywania okrętów podwodnych, zastosowano doskonalsze radary, działające na falach centymetrowych, systemy wystrzeliwania całych salw bomb głębinowych (tzw. jeże), oraz doskonale wyposażone samoloty tropiące U-booty na całym Atlantyku. Zwiększyła się też liczba okrętów eskorty.

Efekty były bardzo szybkie. W kwietniu Niemcy zatopili 250 tysięcy ton tracąc 14 U-bootów, w maju 150 tysięcy ton przy stratach własnych 34

U-bootów z doskonale wyszkolonymi załogami (a te straty było najtrudniej uzupełnić).

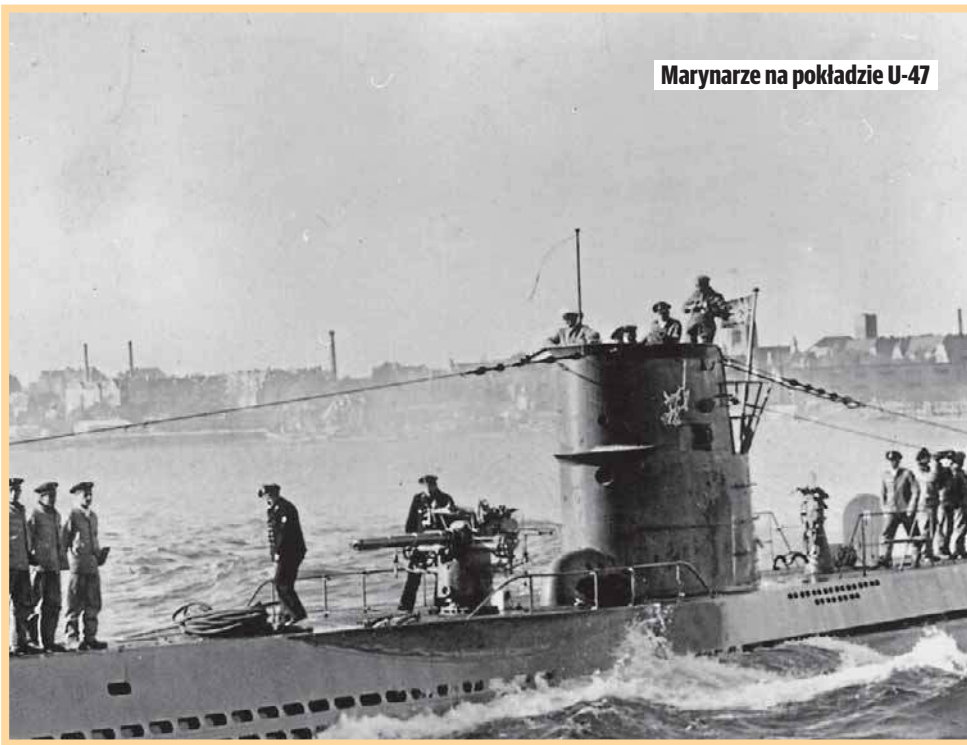
Decydujące okazało się drugie półrocze 1943 roku. udało się zatopić 300 tysięcy ton za cenę 197 utraconych U-bootów. Kręgosłup podwodnej armady Doenitza został złamany, a bitwa o Atlantyk i trasę dostaw wojennych z USA przegrana.

Pozostaje pytanie czy tylko nowinki techniczne aliantów pozwoliły im tak skutecznie tropić i niszczyć „wilcze stada” posługujące się coraz doskonalszymi okrętami podwodnymi produkowanymi masowo przez stocznię III Rzeszy. Czy poprzednie klęski aliantów też wynikały z takiej przewagi technicznej Niemców?

Nic bardziej mylnego. Technika była tylko narzędziem, zdecydował natomiast sposób jej wykorzystania.

Niemcy początkowo atakowali konwoje w pobliżu baz, z których wyruszały. Potem na skutek przeciwdziałania aliantów atakowały je w centrum Atlantyku. Jak to mogły czynić na tak ogromnych przestrzeniach. Było to zagadką dla Brytyjczyków aż do końca

Od dominacji do klęski



Marynarze na pokładzie U-47

FOT. ARCHIWUM

wojny. Okazało się wówczas, że początkowe sukcesy odnosili Niemcy dzięki zastosowaniu urządzenia zwanego „hydrofonem”, pojedynczy U-boot był w stanie odnaleźć konwój już z odległości 150 kilometrów. Natychmiast informował o tym centralę Doenitza a tam starano się zebrać

„wilcze stado”, które atakowało statki alianckie.

Podstawą sukcesu niemieckiego było rozszyfrowanie depesz kierowanych do statków i okrętów tworzących konwoj. Złamane kody umożliwiały szybko koncentrację „wilczych stad” i niespodziewany atak. I z tego rodziły się

błyskotliwe sukcesy dające przez kilka lat prymat U-bootów na Atlantyku.

Zgodnie jednak z zasadą, że kto mieczem wojuje od miecza ginie, niemiecka podwodna potęga padła na skutek podobnej do zastosowanej przez siebie broni, czyli złamania przez aliantów morskich kodów Enigmy

Kalendarium

Wydarzyło się 31 października

- 1922 – Benito Mussolini został premierem Włoch.
- 1929 – Marszałek Ignacy Daszyński odmówił rozpoczęcia posiedzenia sesji budżetowej Sejmu RP z powodu obecności w gmachu parlamentu około 100-osobowej grupy uzbrojonych oficerów towarzyszących ministrowi spraw wojskowych Józefowi Piłsudskiemu.
- 1941 – Na Mount Rushmore w Dakocie Południowej zakończono 14-letnie prace nad wykutym w skale monumencie przedstawiającym głowy czterech prezydentów USA.
- 1972 – Amerykański śmigłowiec CH-47 Chinook został zestrzelony koło miasta My Tho w Wietnamie Południowym przez pocisk Striela-2, w wyniku czego zginęło wszystkich 12 osób na pokładzie.
- 1984 – Premier Indii Indira Gandhi została zamordowana przez dwóch sikhów z jej osobistej ochrony.
- 1985 – W fabryce w Świdniku z taśmy produkcyjnej zjechał ostatni motocykl WSK.

Pałac Pod Ptasimi Głowami

Dawny pałac Reinhardta Bennicha słynie z secesyjnych dekoracji na fasadzie. Wśród nich wyróżniają się sowe głowy. Stąd nazwa: pałac Pod Ptasimi Głowami.

Została zbudowana w latach 1903 – 1904 dla Reinhardta Bennicha, jednego z pięciu synów znanego fabrykanta Karola Bennicha, właściciela zakładów włókienniczych przy ul. Łąkowej 11. Autorem projektu był Dawid Lande, jeden z czołowych architektów w dziejach Łodzi.

Powstała stylowa, piętrowa rezydencja z wykuszem pośrodku, płytkimi ryzalitami po bokach, bramą wjazdową i poddaszem. Jej ozdobą są bogate dekoracje secesyjne: motyw nietoperza między wykuszem a dachem, wspomniane sowe głowy pod oknami na I piętrze oraz

liście, konary i korzenie kasztanowca.

Reinhardt Bennich mieszkał tam z żoną Elżbietą i dziećmi. Właściciel dał się poznać jako miłośnik malarstwa posiadający m.in. obrazy Józefa Brandta, Franciszka Żmurki i Alfreda Wierusza – Kowalskiego. Przełom nastąpił w 1929 roku, kiedy Bennichowie wpadli w tarapaty finansowe i sprzedali posesję z pałacem i ogrodem firmie Gentelman produkującej wyroby gumowe.

Po II wojnie światowej właścicielem pałacu zostało Wojsko Polskie. Najpierw działał tam hotel garnizonowy, a po-

tem Wojskowy Ośrodek Badawczo – Wdrożeniowy Służby Mundurowej.

Od kilku lat zabytek stoi pusty i niszczeje. Wymaga pilnego remontu. Niestety, pierwotny wystrój wnętrz – wskutek wtórnych podziałów i niewłaściwego użytkowania – został zniszczony lub zasłonięty. Przetrwwały jedynie secesyjne, sufitowe sztukaterie z motywami roślinnymi oraz dwa małe witraże o motywach kwiatowych na drzwiach do łazienek. Ozdobą wnętrza był duży witraż na suficie w hallu, których jednak został zniszczony w latach 60.

Wiesław Pierzchała



Pałac przy ul. Gdańskiej i Karol Bennich – ojciec właściciela.

Więcej

Łowcy skarbów przybyli do Łodzi

O pałacu Bennicha było głośno w 2009 roku, kiedy zjawili się w Łodzi potomkowie jego przedwojennych właścicieli związani z firmą Gentelman. Przybyli z USA i Wielkiej Brytanii w poszukiwaniu skarbów. Otóż dziadek jednego z nich po wybuchu II wojny światowej i tuż przed opuszczeniem Łodzi miał zakopać w ogrodzie przy pałacu rodzinne kosztowności. Niestety, poszukiwania zakończyły się niepowodzeniem, zaś o całym wydarzeniu powstał film dokumentalny „Powrót do Łodzi”.

Rudowęgłowiec S/S „Sołdek” był pierwszym statkiem zbudowanym po wojnie w polskiej stoczni. Zwodowano go w Gdańsku 6 listopada 1948 roku.

Wodowanie odbyło się w atmosferze wielkiej politycznej fety. Byli dziennikarze, oficjele, tłumy i niekończące się przemówienia. Swą nazwę statek zawdzięczał Stanisławowi Sołdkowi, ówczesnemu przodownikowi pracy ze Stoczni Gdańskiej. Matką chrzestną statku została jego żona Helena.

„Spłynął majestatycznie”

„Na trybunę wszedł min. Rapacki - wspominał na łamach „Morza. Marynarza Polskiego” Stanisław Woliński, uczestnik uroczystości. „Podsumował pokrótce osiągnięcia stoczniowców przy budowie nowych jednostek i analizując nazwę tego pierwszego statku, powiedział: »Nazwisko Stanisława Sołdka, które znajdzie się na pierwszym w Polsce wybudowanym statku, jest nazwiskiem prostego, dobrego robotnika i przodownika pracy, nie jest jednak jego prywatnym nazwiskiem, jest symbolem nazwisk wszystkich robotników stoczniowych«. Następnie, na wniosek min. Rapackiego, zebrani na pochylili stoczniowcy uchwalili, aby następny rudowęgłowiec, którego wodowanie ma nastąpić w dniu 15 grudnia, otrzymać nazwę »Jedność Robotnicza«. Po ślubowaniu Stanisława Sołdka poczęto usuwać ostatnie kliny podtrzymujące kadłub statku.

Miarowo, z uwagą i napięciem oczekiwali zebrani momentu, kiedy statek drgnie i pocnie zjeżdżać do wody. Usunięto ostatnią zapórę, przysła rozbita o burtę butelka szampana. Przy dźwiękach hymnu narodowego s/s „Sołdek” spłynął majestatycznie na wodę. Jego matką chrzestną była Helena Sołdek, żona przodownika pracy i bohatera niezapomnianej uroczystości. Tak rozpoczął swój pracowity żywot pod polską banderą »Sołdek« - statek”.

Kim był Sołdek?

Stanisław Sołdek, patron statku, był ciekawą postacią, idealnie pasującą do tamtych czasów. Człowiekiem idealnie pasującym do kanonów socjalizmu. Syn robotnika z Koźmic, przedwojenny pracownik Stoczni Modlińskiej Państwowych Zakładów Inżynierii i Płockiej Stoczni Rzecznej na Radziwiu. Ukończył w Warszawie kurs spawaczy.

Po wojnie przeniósł się do Gdańska. Był wśród inicjatorów propagandowego wyścigu pracy w przemyśle stoczniowym, wzorowanego na podobnych kampaniach w ZSRR. W latach 1952-1956 był posłem na Sejm I kadencji z ramienia PZPR. Był także członkiem Komitetu Wojewódzkiego PZPR.

Po uzupełnieniu wykształcenia średniego, w 1950 r. rozpoczął studia na Wydziale Budo-



Sołdek to obecnie statek-muzeum.

„Sołdek” - pierwszy powojenny statek

wy Okrętów Politechniki Gdańskiej, a w 1956 r. został magistrinżynierem okrętowcem. W maju 1963 r. otrzymał etat dyrektora naczelnego remontowej Stoczni Wisła. Zmarł w Gdańsku i tam jest pochowany.

Socjalizm i stocznie

„Sołdek” nie wziął się z przypadku - był owocem przedstawienia przedwojennej rolniczej Polski na tory uprzemysłowienia. Oficjalne początki przemysłu stoczniowego w Polsce sięgają już 1 lutego 1945 roku, kiedy działania wojenne na znacznych obszarach Polski toczyły się jeszcze z dala od morza. Wtedy to ówczesny minister przemysłu, towarzysz Hilary Minc, powołał Departament Morski, którego dyrektorem został inż. Henryk Sobański.

Już w marcu Departament opracował memoriał zawierający propozycję utworzenia Zjednoczenia Stoczni Polskich, jako instytucji koordynującej planowaną budowę statków morskich. Jednocześnie Ministerstwo Przemysłu wśród grup operacyjnych, mających za zadanie zabezpieczenie i uruchomienie przedsiębiorstw na terenach, które przed wojną nie leżały na obszarze II RP, powołało w Bydgoszczy Morską Grupę Operacyjną.

W jej skład wchodził przede wszystkim inżynierowie i technicy, w tym również okrętowcy, których losy wojenne rozrzuciły po kraju. Głównym zadaniem Morskiej Grupy Operacyjnej skierowanej do Gdańska było zabezpieczenie ocalałej infrastruktury stoczniowej, która już nadzorowana i inwentaryzowana była przez specjalistów rosyjskich, kwalifikujących ją jako zdobycz wojenną.

Wybrano Gdańsk

Na stronie Portal Morski można znaleźć tekst Jerzego Litwina o trudnych początkach podnoszącego się z gruzów przemysłu stoczniowego.

„14. czerwca 1945 r. powołano - pisze autor - Zjednoczenie Stoczni Polskich z siedzibą w Gdańsku. Dyrektorem owego Zjednoczenia został inż. Henryk Umiasowski, a na jego zastępcę powołano inż. Witolda Urbanowicza. (...) Wybór Gdańska na siedzibę Zjednoczenia miał charakter polityczny i gospodarczy, gdyż pomimo zniszczeń w gdańskich stocznich dostrzegano warunki do szybkiego podjęcia produkcji. Pierwszymi decyzjami Zjednoczenia było wyznaczenie komisji odpowiedzialnych za przejmowanie od Rosjan zajętych przez nich stoczni. Działania te zakończono 30 sierpnia 1945 r. Objęły one zarządzanie jedenastoma stoczniami, jakie były w Wolnym Mieście Gdańsku”.

W Stoczni Gdańskiej 13 września 1945 r. oficjalnie uroczystie zainaugurowano remonty statków. Dodatkową produkcją tejże stoczni był montaż 1812 ciągników, 20 parowozów i 500 samochodów przysłanych do Polski w ramach pomocy UNRRA.

Jako muzeum

Już trzy lata później zwodowano „Sołdka” - rudowęgłowiec o napędzie parowym. Był to prototyp serii 29 rudowęgłowców - małych masowców typu B30 zbudowanych w latach 1949-1954 w Stoczni Gdańskiej. Długi na 87 metrów, szeroki na 12 m, o nośności 2610 ton. Podczas położenia stępki pierwszy nit zakłu wspomniany już minister żegluga Adam Rapacki,

zaś pierwsze blachy poświęcił ksiądz z gdańskiej parafii.

Projekt wstępny statku został opracowany przez grupę polskich konstruktorów pod kierunkiem inż. Henryka Giełdźnika, zaś dokumentację warsztatową zlecono francuskiej stoczni Augustin Normand w Hawrze. Budową statku kierował inż. Jerzy Doerffer.

24 września 1949 r. o godz. 9.55 „Sołdek” odbył pierwszy rejs próbny - z portu wyprowadził go pilot kpt Laskowski za pomocą holowników: „Atlas” na dziobie i „Cyklop” na rufie. Do 30 grudnia 1980 r. „Sołdek” odbył 1479 rejsów morskich, przewiózł ponad 3,5 mln ton towarów, zawijając do ponad 60 portów.

Nie poszedł na złom, pełni dziś inną funkcję. 17 lipca 1985 r. został udostępniony do zwiedzania jako statek-muzeum, oddział Narodowego Muzeum Morskiego w Gdańsku. W 2024 roku statek zwiedziło 69 tys. 499 osób.

Rodzi się potęga

Dzieje „Sołdka” są symbolem rozwoju powojennego przemysłu stoczniowego - jednego z filarów gospodarczych kraju. Decyzja o „rozwijaniu przemysłu okrętowego, będącego własnością państwa, w ramach ogólnonarodowej gospodarki planowej”, zapadła w 1946 r. „Przewidywano w nim w okresie 1948-1957 budowę 164 statków o łącznej nośności 357 000 ton. Zadania te miały realizować przede wszystkim gdańska Stocznia nr 1, Stocznia nr 2 i w pewnej części Stocznia nr 3. 31 marca 1947 r. Ministerstwo Żegluga i Handlu Zagranicznego przekształcono w Ministerstwo Żegluga, któremu podpo-

szym kraju był drobnicowiec „Oliwa”. Odbyło się to prawie siedem miesięcy przed wodowaniem „Sołdka”, w szczecińskiej Stoczni „Odra”.

Sprawy przez lata nie głośniano - dowodzi Stefański - a jednym z powodów było to, że budowę rozpoczęli Niemcy 1 lipca 1943 r. w stoczni Stettiner Oderwerke. W ramach powojennej rewindykacji i podziału ponemieckiej floty niekończony drobnicowiec przydzielono Polsce.

We wrześniu 1947 r. podjęto decyzję o odbudowie przemysłu stoczniowego, a już w październiku postanowiono wykończyć „Oliwie”. Zamówienie na nią złożył GAL (Gdynia - Ameryka Linie Żeglugowe) i wtedy zmieniono jej nazwę na „Oliwa”.

Stefański pisze dalej: „Dla szczecińskiej »Odry« było to za trudne zadanie, głównie ze względu na brak odpowiednich fachowców, sprzętu i narzędzi. Dlatego Zjednoczenie Stoczni Polskich zleciło pracę Stoczni Gdynińskiej, która miała większe doświadczenie i możliwości. Ponieważ kadłuba nie można było przetransportować, postanowiono wysłać do Szczecina delegację z tego zakładu”.

Budowę kadłuba ukończono w grudniu 1947 r., a wodowanie „Oliwii” odbyło się 24 kwietnia 1948 r.

W celu zamontowania nabytej w Danii maszyny napędowej i wyposażenia statek został w sierpniu 1948 r. odholowany do Stoczni Gdańskiej. Pod zmienioną nazwą „Marchlewski” (następnie „Julian Marchlewski”) wyszedł w rejs próbny z Gdańska 3 VII 1950 r. Pływał pod polską banderą do końca lat 60., potem służył za magazyn. Ostatecznie zezłomowano go w Finlandii w 1982 r.

Mariusz Grabowski



Dzieje „Sołdka” są symbolem rozwoju powojennego przemysłu stoczniowego.

Anna Matusiak: Śmierć to może okres przejściowy, po którym czeka nas coś piękniejszego.

Anna Matusiak: Zamiatamy śmierć pod dywan, dlatego nie potrafimy spokojnie żyć

FOT. SZYMON STARNAWSKI

Nie paraliżuje mnie już myśl o odejściu. Śmierć to druga strona życia - mówi dziennikarka i pisarka Anna Matusiak, autorka książki „Ze śmiercią im (nie) do twarzy”, w której znalazły się rozmowy z tymi, którzy ze śmiercią stykają się codziennie.

Co pani czuje, kiedy słyszy słowo „śmierć”?

Jak każdy człowiek, w pierwszym odruchu czuję jakieś spieczę, obawę, lęk. Ale z drugiej strony, po rozmowach, które przeprowadziłam, i po moim doświadczeniu zawodowym, bo skończyłam suicydologię, czyli naukę, która mocno przygląda się śmierci, z tej perspektywy samobójczej, to patrzę na śmierć, a przynajmniej się staram, jak na drugą stronę medalu pod tytułem „życie”. Naprawdę, po zrobieniu wielu podcastrów na temat śmierci i dzięki psychologicznemu wykształceniu, mam poczucie, że mówiąc o śmierci, rozmawiamy o życiu. Dlatego tak często podkreślam, że moja książka

nie jest ciemna, mroczna ani smutna. Ma na celu sprawić, byśmy jeszcze bardziej, jakkolwiek banalnie to zabrzmiał, potrafili cieszyć się życiem i je dostrzegać. Ale oczywiście w pierwszym odruchu, jak każdy człowiek, wciąż nie pozbyłam się lęku i tego lekkiego odrętwienia, kiedy słyszę słowo „śmierć”. A już tym bardziej, gdy pomyślę o moich bliskich. Moja własna śmierć być może została już trochę oswojona, choć tyle o sobie wiemy, na ile nas sprawdzone. Natomiast lęk o bliskich, o rozstanie z tymi, których się kocha, zawsze wywołuje emocje.

Sam tytuł pani książki „Ze śmiercią im (nie) do twarzy” prowokuje i zmusza do refleksji. Dlaczego taki tytuł?

Po prostu od razu przyszedł mi do głowy. To oczywiście parafraza tytułu filmu, choć moja książka do niego nie nawiązuje. Sam zwrot wydał mi się natomiast adekwatny, zwłaszcza że książka opowiada o perspektywach zawodo-

wych. To „nie do twarzy” albo „do twarzy” gdzieś się ze sobą przenika i miesza. Możemy się zastanawiać, co to właściwie znaczy, czy nam do twarzy ze śmiercią, czy nie? Skoro jest to jedyna rzecz, która spotka każdego z nas, bez względu na wykształcenie, status społeczny, przygotowanie. Nie do końca zgadzam się z powiedzeniem, że śmierć jest jedyną sprawiedliwością, bo przecież czeka każdego. Jak pokazuje doświadczenie, bywa też bardzo niesprawiedliwa. Zabrała dzieci. W podcaście o tym samym tytule, „Ze śmiercią (nie) do twarzy”, rozmawiam z moimi gośćmi książkowymi, ale też z ludźmi po stratach, czego już w książce celowo nie ujęłam. Chciałam, żeby publikacja pokazywała wyłącznie perspektywę zawodową. Rozmowy z osobami po stracie pokazują jednak, jak bardzo śmierć potrafi być niesprawiedliwa, jak bardzo potrafi być nie do twarzy. O to mi właśnie chodziło: o przenikanie się pewnych zwrotów, perspektyw myślenia o śmierci i o życiu.

Dlaczego w ogóle zajęła się pani tematem śmierci?

Wie pani, że to jest pytanie, na które sama nie umiem znaleźć odpowiedzi? I szukam jej w sobie od dawna. Fascynuje mnie śmierć, ale nie w perspektywie kryminalnej. Nigdy nie zaczytywałam się w brutalnych morderstwach, nie chciałam zgłębiać śmierci z takiego punktu widzenia. Ona fascynuje mnie z perspektywy psychologicznej, filozoficznej, teologicznej. Choć jestem naprawdę człowiekiem, kocham życie i staram się czerpać z niego pełnymi garściami, to faktycznie śmierć, a w ogóle tematy trudne, bolesne, oscylujące wokół cierpienia, zawsze mnie pociągają z perspektywy dziennikarskiej, a pracuję w zawodzie od 25 lat. Teraz powoli wchodzi też w zawód pomocowy, czyli zawód psychologa. To otworzyło mi nową perspektywę. A może właśnie dlatego w nią wchodzi, żeby móc tę perspektywę otworzyć z innej strony. Jest w tym coś fascynującego, w tej kurtynie, za którą

nie wolno nam spoglądać. W tej magii. Interesuje mnie to nie tylko z punktu widzenia nauki, ale też zjawisk niewyjaśnionych. Po prostu śmierć mnie fascynuje, jakkolwiek to nie zabrzmiał. Zawsze powtarzam, że kiedy grzebię w niej jako dziennikarka, to trochę pod przykrywką mikrofonu, kamery, dyktafonu. I wtedy czuję się bezpieczniej, mam takie złudne poczucie, że nie staram się uchylać tej kurtyny, której nie wolno nam uchylać; ja tylko rozmawiam. Że nie zagłębiam się w tematy, w które może nie powinniśmy. A może właśnie powinniśmy? Może właśnie dlatego, że się nie zagłębiamy, potęguje się w nas strach? Śmierć wciąż jest tematem tabu. Choć dziś rozmawiamy już o wszystkim, o śmierci wciąż bardzo trudno nam mówić. Może właśnie dlatego powinniśmy o śmierci rozmawiać, żeby żyć pełniej. A to dla mnie cel nadrzędny.

Wszyscy Pani rozmówcy mają wspólną cechę: zawodowo stykają się ze śmiercią. Jak ich Pani dobiera-

ła? Jest i właściciel zakładu pogrzebowego, ksiądz, psycholożka, archeolog sądowy, a nawet medium.

Pewne zawody po prostu musiały się tu znaleźć. Nie wyobrażam sobie książki o śmierci z perspektywy zawodów bez grabarza, psychologa hospicyjnego czy księdza. Ale niektóre postaci pojawiały się w trakcie pracy, bo ktoś kogoś polecił, ktoś inny wspomniał, że zna ciekawą historię. Wiele z tych spotkań zrodziło się przypadkiem, choć ja w przypadki raczej nie wierzę. Część rozmów miałam w głowie od początku. Bardzo chciałam dotrzeć do lekarza, który wykonuje eutanazję, czyli naukowym i duchowym, znaleźć wspólny mianownik. Czy będą to zupełnie różne refleksje, czy może jednak mówimy o tym samym, tylko innym językiem. Poza tym zależało mi, żeby książka mogła tra-

fić do każdego. Jesteśmy różni. Jednego bardziej poruszy ksiądz albo psycholog hospicyjny, który towarzyszy ludziom w ostatnich chwilach, a do innego przemówi medium czy tarocista. Niektórzy moi rozmówcy pojawili się z czystej ludzkiej ciekawości. Do tarocisty poszłam przede wszystkim zapytać, czy ludzie pytają o własną śmierć. Czy jesteśmy tego ciekawi, czy wolimy nie wiedzieć. I bardzo mnie zaskoczyło, gdy usłyszałam, że tak, że o śmierć pytają często. Ja sama nigdy w życiu bym o to nie zapytała. Dlatego ten dobór postaci jest tak różnorodny. Zależało mi, by każdy czytelnik mógł znaleźć w książce swoją drogę, swój język rozmowy o śmierci.

Co jeszcze łączy ludzi, którzy zawodowo dotykają śmierci? Zauważyła pani w nich jakieś wspólne cechy, jak na przykład spokój czy dystans?

Przed wszystkim łączy ich miłość do życia. To było dla mnie najbardziej zaskakujące, a zarazem najbardziej budujące odkrycie. Ten ogromny szacunek do życia, ale też do ludzi, którzy odchodzą. Nie dostrzegłam w nich rutyny, która przecież byłaby naturalna, a może nawet usprawiedliwiona. Bo kiedy ktoś codziennie styka się ze śmiercią, to włącza się mechanizm obronny, właśnie rutyna, która pozwala w tym zawodzie przetrwać. Gdy myślę o właścicielu zakładu pogrzebowego, który sam wykonuje makijaż pośmiertny, wyobrażam sobie, że w którymś momencie musiałby chronić swoją psychikę. Oczywiście każdy z moich bohaterów ma pewne predyspozycje, bez których nie da się wykonywać takiej pracy. A jednak w każdym z nich widziałam ogromny szacunek i jednostkowe podejście do drugiego człowieka, do każdego kolejnego klienta czy pacjenta, w zależności od zawodu. Urzekło mnie to: spokój, godność i walka o zachowanie tej godności w obliczu czegoś tak delikatnego, niematerialnego, niepojętego. I dało mi poczucie światła w tunelu; że istota człowieczeństwa wciąż w nas istnieje.

Które ze spotkań było dla pani szczególnie ważne albo trudne? Co najbardziej panią poruszyło?

Odpowiem zupełnie prywatnie. Bardzo trudne i ważne było dla mnie spotkanie z księdzem z Centrum Zdrowia Dziecka. Nie ze względu na jego zawód, tylko ze względu na tego konkretnego człowieka i to miejsce. Siedem lat temu, kiedy urodził się mój synek, leżałam w Centrum Zdrowia Dziecka, walcząc o jego życie. Ksiądz Jacek, który jest bo-

haterem mojej książki, ochrzcił mojego synka na OIOM-ie. Wyobraża sobie pani, jakie to były emocje? Jaki to był chrzest, gdy nie wiadomo było, czy to chrzest, czy pożegnanie? Powrót do tego miejsca po siedmiu latach, w innej roli, był dla mnie szczególny. Szczególne było też spotkanie z tym samym człowiekiem, który wtedy był dla mnie głosem nadziei. Bo w sytuacji granicznej, bez względu na to, czy ktoś jest wierzący, czy nie, człowiek chwytą się każdej nadziei. A ksiądz, który czyni znak krzyża i mówi: „Proszę się nie martwić, będzie dobrze, on z tego wyjdzie”, staje się jakimś głosem Boga. Głosem, który tak bardzo chce się usłyszeć i zinterpretować jako coś więcej niż zwykłe pocieszenie. Po tylu latach wróciłam tam już jako studentka psychologii, na praktyki. To też było doświadczenie niezwykle dla mnie ważne: powrót do tamtego miejsca z nową świadomością, w nowej roli. Jeśli chodzi o samych bohaterów książki, to ogromne wrażenie zrobiła na mnie rozmowa z psychologką hospicyjną. W jej oczach było tyle światła i radości, gdy mówiła o tak trudnych sprawach. Miała w sobie coś niewiarygodnie pogodnego, ciepłego, pełnego miłości do życia. Powiedziała mi wtedy coś, co często cytuję: „Trafiłam tam przypadkiem; nie było akurat pracy w mojej specjalizacji, więc poszłam tam tylko na chwilę. Zostałam na kilkanaście lat. Żadne inne miejsce nie nauczyło mnie takiej miłości do życia, jak właśnie to hospicjum.” To burzy stereotyp myślenia o hospicjum jako „umieralni”. Bo to jest właśnie miejsce, w którym może się narodzić ogromna miłość do życia. Zapamiętałam też rozmowę z policyjnym negocjatorem, człowiekiem, który rozmawia z ludźmi stojącymi dosłownie na granicy życia i śmierci. Czasem jeden krok dzieli ich od przejścia na drugą stronę. On robi wszystko, żeby ten krok wykonali w przeciwną stronę. Powiedział mi: „Wiesz, Ania, uratowałem setki żyć, ale nie uratowałem własnego brata. Nie zauważyłem. A on to zrobił.” To było dla mnie ogromnie poruszające. Pokazuje, jak bardzo to wszystko jest płynne, delikatne, nie-normowe. Nie mamy papierów na ratowanie życia. Można zrobić wszystko, co w naszej mocy, żeby odwrócić drugiego człowieka ku życiu, a i tak nie zawsze się uda. Właśnie dlatego skończyłam suicydologię, żeby próbować odwracać ludzi ku życiu, choć mam świadomość, że niektórych po prostu nie da się uratować. Każdy z moich rozmówców zostawił we mnie choć jedno zdanie, które zabieram ze sobą. I wiem, że zostanie ze mną na zawsze.

Ksiądz w pani książce mówi, że dzieci umierają spokojnie. Jak rozumieć ten spokój?

Rozumiem go tak, że dziecko jest może bliżej tej tajemnicy, której my nie znamy. Bliżej źródła, bliżej Ojca, jakkolwiek to sobie nazwiemy. Ktoś powie: bliżej Boga. Ktoś inny: światła, a jeszcze ktoś: prądo-dła. To także moje doświadczenie po obserwacji wszystkiego, co widziałam w Centrum Zdrowia Dziecka. Dziecko na oddziale onkologicznym niesie obraz, który nas, dorosłych, bardzo boli. Ale dzieci tam zazwyczaj są radosne, szczęśliwe, bo tak wygląda ich świat. W ich świecie jeszcze nie ma perspektywy planów, marzeń, ambicji, które utrudniają pogodzenie się z przemijaniem. Cierpią rodzice. Cierpienie fizyczne dzieci oczywiście boli, bo to po prostu ból. Ale w wymiarze duchowym najbardziej boli cierpienie dorosłych, którzy walczą o swoje dzieci. Dziecko przyjmuje rzeczywistość inaczej, bo jest na innym etapie życia. Po prostu tak wygląda jego świat: dziś jest szpital, jutro może być dom. Tak rozumiem słowa księdza Jacka i tak je noszę w sobie.

Czego dowiedziała się pani o śmierci od ludzi, z którymi rozmawiała?

Chyba zostawiłam sobie nadzieję, którą wycytuję z wypowiedzi moich bohaterów, a może raczej chcę ją sobie wyczytywać. Myślę, że każdy czytelnik znajdzie w tej książce coś innego, ale ja zostawiam sobie tę właśnie nadzieję: że to nie koniec. Że po drugiej stronie coś jest. Że idziemy ku czemuś większe-

mu. Że śmierć to może okres przejściowy, po którym czeka nas coś piękniejszego. Co nie znaczy, że mamy na nią czekać; tylko że możemy się mniej jej bać. Można cieszyć się perspektywą, że kiedyś odejdziemy, ale do tego czasu powinniśmy żyć jak najlepiej, tu i teraz, jak najpiękniej. Może właśnie o to chodzi, by zasłużyć w życiu na to, żeby za tą kotarą było jeszcze piękniej i lepiej. Więc jeśli miałabym odpowiedzieć krótko: po rozmowach z moimi bohaterami zostawiłam sobie nadzieję, że jest coś więcej i że to coś będzie naprawdę dobre.

Czy śmierć może być dobra? Pytam też w kontekście tego, jak ludzie chcą umierać. Czy ci, którzy przychodzili do tarocisty i pytali o swoją śmierć, mówili, jak chcą odejść? Czym jest dla pani dobra śmierć?

Przywołam tu spotkanie z Anją Franczak, założycielką Instytutu Dobrej Śmierci. Sama nazwa tej instytucji wskazuje, że śmierć może być dobra. Wiele oczywiście zależy od kontekstu, od sytuacji, od samego odchodzącego, ale też od tych, którzy pozwalają odejść. Nie da się stworzyć jednej definicji, ale wiem, że ogromnie wiele zależy od atmosfery, w jakiej człowiek odchodzi. To pewnie cholernie trudne pozwolić odejść komuś, kogo się kocha. A jednak można zrobić bardzo dużo, by to odchodzenie było dobre, piękne, spokojne dla wszystkich: i dla tych, którzy żegnają, i dla tych, którzy odchodzą. Oczywiście wtedy, kiedy mamy czas, kiedy śmierć przychodzi po chorobie, a nie nagle. Wtedy możemy pozwolić sobie na to wspólne żegnanie,

na konstruowanie ostatnich chwil razem. Tak, wierzę, że śmierć może być dobra. I bardzo bym chciała, żeby kiedyś, oby jak najpóźniej, gdy przyjdzie po mnie lub moich bliskich, potrafiła nas spotkać w spokoju. Żebyśmy znalazła w sobie siłę, by przypomnieć sobie te rozmowy, te twarze, i umiała odejść albo żegnać w dobrostanie, w poczuciu dobra, a nawet, jakkolwiek to zabrzmiałoby, z radością, że odchodzę do lepszego świata.

Pisze pani w książce, że śmierć została wypchnięta z naszej codzienności. Nie mówi się o niej, nie istnieje w mediach, nie ma jej w social mediach. Co tracimy, omijając ten temat?

Tracimy z całą pewnością spokój. Bo wszystko, co jest zamiatane pod dywan, co zostaje wyparte i zamrożone, w nas zostaje. Wracą potem w postaci lęku, napięcia, niepokoju. Jestem przekonana, że niszczy nas to, że nie osławiamy się ze śmiercią w dobry sposób, tylko w jej najbardziej drastycznej formie. Bo jedyne, co dziś kojarzy się ze śmiercią w mediach, to brutalne obrazy: wypadki, morderstwa, katastrofy. Ten przekaz przepełniony jest lękiem. A lęk rodzi jeszcze większy lęk. Naszym naturalnym odruchem staje się wtedy ucieczka od tematu. Zamrażamy się, wycofujemy, udajemy, że śmierci nie ma. Że nie istnieje. A to paradoksalnie tylko pogłębia niepokój. Im bardziej od niej uciekamy, tym bardziej nas dogania.

Ludzie, którzy pomagają umierającym, często mówią, że ta praca pomaga również im samym. W jaki sposób?

Myślę, że rzeczywiście tak jest. To doświadczenie pozwala im uzyskać pewien spokój. Oni mniej boją się własnej śmierci. Oczywiście, kiedy przychodzi moment spotkania z nią twarzą w twarz, nikt z nas nie wie, jak się zachowa. Być może w takiej chwili zapominamy o całym doświadczeniu zawodowym i dopiero wtedy życie pokazuje, jakie emocje naprawdę się w nas odezwą. Ale można żyć w lęku albo w spokoju. Myślę, że ci ludzie, którzy pomagają innym przejść na drugą stronę, żyją w dużo większym spokoju właśnie dlatego, że tego dotyczą. Że są przy tym, co najtrudniejsze, a przez to także najbardziej prawdziwe.

A pani? Mniej boi się pani śmierci po napisaniu tej książki?

Nie chciałabym rzucać słów na wiatr i powiedzieć, że boję się zdecydowanie mniej, choć chyba trochę tak. Myślę, że faktycznie czuję odrobinę mniej lęku. To oczywiście nie dotyczy moich bliskich. Sama myśl o ich odejściu napawa mnie przerażeniem i natychmiast wywołuje łzy. Ale jeśli pomyślę o własnej śmierci, to jest już we mnie więcej spokoju. Nie paraliżuje mnie ta myśl. Mam jeszcze wiele planów, wiele rzeczy, które chciałabym zrobić, a przede wszystkim mam małe dziecko. To są jedyne obawy, które przychodzą mi do głowy. Samo odejście przestało mnie jednak przerażać. Łatwiej jest mi o nim myśleć z całą pewnością dzięki sile, energii i światłu, które dały mi te rozmowy. Bo taki właśnie był cel tej książki: światło, a nie mrok.

Anita Czupryn



FOT. GRZEGORZ GALASINSKI

Piotr Pawlak:

Wirtuoz fortepianu i matematyk

Piotr Pawlak: – Liczę, że uda mi się wykorzystać rozpoznawalność.



FOT. PRZEMEK ŚWIDERSKI

Pianista, matematyk, uczestnik tegorocznego Konkursu Chopinowskiego. W rozmowie z nami Piotr Pawlak opowiada o fascynacji wielkim kompozytorem i codzienności uczestnika jednego z najtrudniejszych konkursów świata.

Czy Chopin jest dziś w centrum pana repertuaru i artystycznej drogi?

Od zawsze gram bardzo zróżnicowany repertuar. Chopin był kompozytorem, który prawie całkowicie poświęcił się fortepianowi i pozostawił po sobie ogromną spuściznę. Jego utworów jest bardzo wiele – są piękne, głębokie i poruszające. Myślę, że właśnie dlatego tak często sięgam po jego muzykę. Nigdy jednak nie ograniczałem się wyłącznie do Chopina. W moim repertuarze znajduje się wielu innych kompozytorów, których również wysoko cenię.

Czym więc wyróżnia się Chopin? Co sprawia, że od tylu pokoleń fascynuje zarówno melomanów, jak i muzyków?

Myślę, że najbardziej zachwyca w jego muzyce to, że wszystko w niej jest na swoim miejscu. Jeśli spojrzymy na nią z perspektywy czysto muzycznej konstrukcji, widać, jak doskonale dobrane są harmonie, jak nowatorsko i pięknie potrafił je wykorzystywać, jak logicznie

i konsekwentnie budował melodie, jak ciekawa i przemyślana jest forma.

Ale jest też druga warstwa – emocjonalna. Chopin potrafił tworzyć utwory, które niezwykle silnie oddziałują na człowieka, poruszają emocjonalnie, działają na zmysły. Trudno powiedzieć, czy kryje się w tym jakiś dodatkowy pierwiastek, czy może sama muzyczna doskonałość wywołuje tak głębokie emocje. W każdym razie połączenie intelektualnej precyzji i emocjonalnej głębi jest czymś naprawdę niezwykłym.

Jest pan laureatem Konkursu Chopinowskiego na instrumentach historycznych. To brzmi naprawdę intrygująco – na czym polega różnica między takim fortepianem a współczesnym?

Granie na fortepianie historycznym to fascynujące doświadczenie. Trzeba zacząć od tego, że fortepian, na którym dziś gramy w salach koncertowych, to zupełnie inny instrument niż ten, na którym grał Chopin. W pierwszej połowie XIX wieku fortepian był wciąż w fazie intensywnej ewolucji. Od tamtego czasu do przełomu XIX i XX wieku zmieniło się bardzo dużo – mechanika, budowa, układ strun, a także brzmienie.

Najbardziej zauważalną różnicą, słyszalną od razu, jest to, że współczesny fortepian jest

znacznie głośniejszy. Ale to nie tylko kwestia głośności, zmieniała się mechanika, sposób działania młotków, proporcje klawiatury, a co za tym idzie, także barwy i kolory dźwięku w poszczególnych rejestrach. Ta ewolucja była odpowiedzią na rozwój sal koncertowych. Instrument musiał wypełniać dźwiękiem coraz większe przestrzenie.

Narodowy Instytut Fryderyka Chopina, organizator głównego Konkursu Chopinowskiego, wpadł jakiś czas temu na pomysł, by stworzyć również konkurs w warunkach możliwie najbliższych tym, w jakich tworzył sam kompozytor, czyli na instrumentach, które Chopin znał. Czasem są to oryginalne fortepiany z epoki, częściej jednak ich wierne kopie.

Czy granie na historycznym fortepianie jest trudniejsze niż gra na współczesnym instrumencie?

To zależy od predyspozycji pianisty. Mnie osobiście łatwiej gra się na współczesnym fortepianie, bo gram na nim dłużej i mam do niego przyzwyczajoną rękę. Poza tym współczesny instrument jest technicznie „udoskonalony” – mechanika jest niezawodna, system podwójnej repetycji sprawia, że klawisze nigdy się nie zaczynają blokować. Na dawnych instrumentach takie rzeczy się zdarzają.

Historyczny fortepian wymaga ogromnego wyczucia,

każdy dźwięk trzeba dosłownie wypracować, bo instrument nie wybacza nawet drobnego zawahania. Z drugiej strony daje poczucie większej kontroli nad dźwiękiem, bo ma się wrażenie, że palcem dotyka się niemal bezpośrednio struny. Mechanizm jest prostszy, więc każdy niuans dotyku przekłada się na brzmienie. To bardzo ciekawe doświadczenie. Niektórzy czują się na tych instrumentach naturalnie, dla innych, tak jak dla mnie, współczesny fortepian jest „ich”. Wszystko zależy od siły, masy ciała i sposobu pracy fizycznej przy instrumencie.

Przejdźmy zatem do współczesnego fortepianu i niedawno zakończonego Konkursu Chopinowskiego. Jak wyglądają przygotowania do imprezy tej rangi? Ile godzin dziennie spędza się przy instrumencie?

Zazwyczaj nie przekraczam pięciu-sześciu godzin dziennie. Standardowo ćwiczę około trzech godzin. Przed konkursem czas ten oczywiście się wydłuża, ale nie w sposób sztywny, dostosowuję go do swoich sił. Bardzo ważne jest, aby nie przeciążyć ciała, bo wtedy łatwo o kontuzje lub zmęczenie. Dla mnie równie istotne są zarówno ćwiczenia, jak i odpoczynek.

Jest pan również matematykiem. Jak to wygląda?

nie wpływa na sposób pracy z muzyką?

Kiedy pracuję nad interpretacją, często podchodzę do niej jak do zadania matematycznego, szukam najlepszego rozwiązania. Zastanawiam się nad logicznymi zależnościami między fragmentami: jeśli jeden zagrał w określony sposób, drugi musi być inny, żeby całość była spójna. Szukam takich rozwiązań, które tworzą logiczną całość i jednocześnie są satysfakcjonujące artystycznie.

Jak duże znaczenie ma dla pana tekst źródłowy, a jak intuicja i „artystyczny polot”?

Tekst Chopina określa, jakie nuty należy zagrać, w jakiej kolejności, z jaką dynamiką. Ale nie da się zapisać wszystkich drobnych niuansów, które decydują o charakterze muzyki – czy dźwięk ma zabrzmieć dwie milisekundy wcześniej, czy później, czy trochę ciszej lub głośniej. To wszystko zależy od interpretacji, intuicji, znajomości reguł muzycznych, doświadczenia i wrażliwości wykonawcy. Od tego zależy, czy utwór poruszy słuchacza.

Czy można to nazwać „osobowością artysty”?

Myślę, że tak, choć jest to trudne do zdefiniowania. Dla jednych osobowość to indywidualność, dla innych oryginal-

ność. Czasem objawia się w tym, że ktoś gra inaczej niż większość, łamiąc pewne schematy, ale w sposób przemyślany. Innym razem artysta gra zgodnie z tekstem, a mimo to odkrywa w nim coś nowego, świeżego. To również przejaw osobowości.

Ostatecznie jednak o wszystkim decyduje jury...

Tak, jury decyduje o nagrodach i w dużej mierze o dalszych losach uczestników, bo jeszcze przed rozpoczęciem konkursu filharmonie planują koncerty laureatów. Ale w dłuższej perspektywie decyduje też publiczność, to ona wybiera, czy koncert chce zobaczyć i kto ją porusza. Czasem okazuje się, że ktoś z czwartej nagrody robi większą karierę niż zwycięzca.

Konkurs to z pewnością ogromny stres. Jak wyglądają relacje, jaka jest atmosfera między uczestnikami?

Atmosfera jest przyjazna. Oczywiście każdy skupia się na sobie, bo wie, ile wysiłku kosztuje przygotowanie. Ale nie ma rywalizacji w złym znaczeniu. Ja miałem mało okazji do rozmów, bo wstawałem późno i nie uczestniczyłem w hotelowych spotkaniach śniadaniowych, ale znam polskich uczestników od lat i zawsze była między nami miła atmosfera – gratulacje, życzenia powodzenia, rozmowy o muzyce. Większość z nas bardziej się wspiera niż rywalizuje.

Moment ogłoszenia wyników – i co dalej? Czy otrzymujecie informacje zwrotne od jurorów?

W 2015, gdy odpadłem po pierwszym etapie, można było spotkać jurorów następnego dnia i porozmawiać. W 2021 z powodu pandemii takich spotkań nie było. W tym roku Instytut wysłał maila z informacją, że można poprosić o rozmowę z wybranym jurorem, osobiście lub online.

Konkurs się zakończył. Jakie są teraz pana plany?

Szczerze mówiąc, jestem na pewnym rozdrożu. Świat muzyki jest dziś bardzo brutalny – jeśli ktoś nie zadebiutuje do trzydziestki, później jest to niezwykle trudne. Oczywiście są wyjątki, ale bardzo rzadkie.

Nie mam jeszcze konkretnego planu, ale liczę, że uda się wykorzystać rozpoznawalność i sympatię – byłem faworytem publiczności w kilku głosowaniach, co jest dla mnie bardzo cenne. Chciałbym, żeby to przełożyło się na realne możliwości, by menedżerowie dostrzegli, że warto mnie zapraszać, bo potrafię poruszyć słuchaczy.

Maja Czech

Co ma zuchwała kradzież klejnotów z paryskiego Luwru do naszego pięknego Żywca? Ano to, że część skradzionej biżuterii z tzw. kolekcji cesarzowej Marii Ludwiki należała dożywieckich Habsburgów. Naprawdę!

W Żywcu osoby interesujące się historią - usłyszawszy, że 19 października złodzieje, wykorzystując trwające w Luwrze prace budowlane, w zaledwie siedem minut skradli dziewięć bezcennych klejnotów koronnych francuskich monarchów, w tym naszyjnik i kolczyki ze szmaragdami należące do cesarzowej Marii Ludwiki, drugiej żony Napoleona Bonaparte - od razu wiedziały, że to TA biżuteria!

- O wczorajszej zuchwałej kradzieży w Luwrze pewnie każdy słyszał, ale czy ktoś wie, że podczas tej kradzieży skradziono naszyjnik i kolczyki, które do lat 50. były własnością arcyksiężnej Alicji Habsburg z Żywca? O historii tego słynnego garnituru klejnotów nie będę się dzisiaj rozpisywać, bo to temat na obszerny, osobny post - napisał Michał Skawiński na profilu „Detal żywiecki” na FB.

Prezent ślubny od cesarza Napoleona

Historię owych klejnotów opisał w 2011 r. w „Groniach”, wydawanych przez Towarzystwo Miłośników Ziemi Żywieckiej, Dariusz Piotrowski w artykule „Historia w kamieniach zamknięta, czyli losy szmaragdowo-brylantowego garnituru klejnotów cesarzowej Marii Ludwiki”.

Przypomniał w nim, że Maria Ludwika, druga żona Napoleona, otrzymała szmaragdowo-brylantowy garnitur jako prezent ślubny.

Po tym, jak w 1814 roku Napoleon abdykował i został zesłany na Elbę, była cesarzowa zwróciła do skarbcza koronnego koronę oraz część biżuterii i wróciła do Wiednia (nie zdecydowała się towarzyszyć mężowi na wygnaniu). Jednak garnitur szmaragdowo-brylantowy był prezentem ślubnym, więc zabrała go ze sobą.

- W chwili śmierci w roku 1847 Maria Ludwika przekazuje garnitur w spadku swej ciotce - arcyksiężnej Elżbiecie Franciszce, żonie arcyksięcia Rajnera, syna Leopolda II Habsburga. Tak to drogą dziedziczenia klejnoty przechodzą w ręce kolejnych Habsburgów Lotaryńskich, tym samym późniejszych, a zarazem ostatnich właścicieli Żywieczyny: Karola Ferdynanda, Marii Teresy - małżonki Karola Stefana, która w roku 1921, po przyjeździe na świat pierworodnego syna ze związku Karola Olbrachta i jego małżonki Alicji - Karola Stefana - przekazała w prezencie synowej rodową biżuterię - pisze Dariusz Piotrowski.



Wartość zrabowanej biżuterii określono na 88 mln euro.

Skradzione klejnoty i żywiecka arcyksiężna

Trudne losy żywieckich Habsburgów

We wrześniu 1939 r. żywiecka siedziba Habsburgów została zajęta przez gestapo. Karol Olbracht został aresztowany i uwięziony. Zarówno on, jak i Alicja nie zgodzili się na podpisanie Volkslisty, która umożliwiłaby utrzymanie choćby częściowej kontroli nad majątkiem rodzinnym. Tym samym skazali się na niełaskę okupantów i wieczną tułaczkę.

- Po zakończeniu wojny Habsburgowie nie wrócili już do Żywca, majątek został skonfiskowany i znacjonalizowany przez nową władzę. Zamieszkali w Krakowie, ale ciężko chory na skutek przejść w hitlerowskim więzieniu Karol Olbracht wyjechał do Szwecji, by podjąć się leczenia, jednak zmarł w 1951 r. Alicja z dziećmi wyjechała do Sztokholmu, by pochować męża na cmentarzu Norra Kyrkogården koło Sztokholmu i do Polski już nie wróciła. Spoczęła obok swojego męża w 1985 r. - przypominaliśmy dzieje arystokratycznej rodziny na łamach DZ w listopadzie 2016 r.

Klejnoty ukryte w pałacu Michał Skawiński na portalu „Detal żywiecki” stwierdził, że w czasie wojny rodzina Habsburgów ukryła wszystkie swoje klejnoty gdzieś w pałacu.

- Niemcy próbowali je odnaleźć, ale na szczęście nie udało im się. Po wojnie rodzina Habsburgów wydobyla wszystkie swoje rodowe klejnoty z tej skrytki i wywiozła ze sobą do Szwecji (prawdopodobnie pocztą dyplomatyczną - red.), a później sprzedała. W ten sposób, wiele lat później, część trafiła do Luwru (tiara jest w Smithsonian Institution w Waszyngtonie, a broszka nie wiem, gdzie się znajduje) - dodał Michał Skawiński na portalu „Detal żywiecki”.

Jak ustalił Dariusz Piotrowski, w 2004 r. Luwr ostatecznie nabył naszyjnik i kolczyki (całą kolekcję cesarzowej, m.in. diadem i kolia zostały sprzedane osobno) Marii Ludwiki od prywatnego właściciela za rekordową sumę 3,7 miliona euro. - Jest to najwyższa do dzisiaj kwota, jaką Luwr zapłacił za kolekcję biżuterii - stwierdził w swoim artykule Dariusz Piotrowski.

Informacje francuskiej prokuratury

Francuska prokurator Laure Beccau poinformowała we wtorek, że wartość klejnotów skradzionych w niedzielę z Luwru szacowana jest na 88 milionów euro. Jak podkreśliła, wycena ta nie odzwierciedla historycznego znaczenia skradzionych przedmiotów.

W śledztwo zaangażowanych jest około 100 funkcjonariuszy. „Złodzieje, którzy ukradli te klejnoty, nie zarobią 88 milionów

euro, nawet gdyby wpadli na zły pomysł rozłożenia na części tych artefaktów” - powiedziała Beccau w rozmowie z RTL.

Do kradzieży doszło w Galerie d'Apollon w Luwrze. Sprawcy skradli osiem klejnotów, w tym tiarę cesarzowej Eugonii - żony Napoleona III - ozdobioną ponad dwoma tysiącami diamentów oraz dwa naszyjniki. W trakcie ucieczki porzucili koronę cesarzowej. Według francuskich mediów złodzieje dostali się do muzeum, używając podnośnika zamontowanego na ciężarówce. Ubrani w kamizelki odblaskowe, udawali robotników. Po wyjęciu klejnotów z witryny przecinarkami odjechali na skuterach. Cały napad trwał około siedmiu minut. Francuska minister kultury Rachida Dati poinformowała, że system bezpieczeństwa w Luwrze działał prawidłowo, a równolegle do śledztwa policyjnego wszczęto dochodzenie administracyjne. Dati podkreśliła, że kradzież jest „ciosem dla całej Francji”, ponieważ Luwr jest symbolem narodowego dziedzictwa. Skradzione klejnoty nie były ubezpieczone, ponieważ - jak wskazuje „Le Figaro” - mają status „kolekcji narodowej” i są uznawane za bezcenne. Według ostatnich informacji dwaj podejrzani w tej sprawie zostali zatrzymani. Los klejnotów nie jest znany.

Jacek Drost



Ławeczka księżnej Alicji Habsburg w żywieckim parku.



Chociaż pogrzeb Franciszka Żwirki odbył się w 1932 roku, to widoczna na zdjęciu powyżej wdowa spełnia wymogi wyglądu ustalone jeszcze w XIX wieku.

Ból i żałoba w ciasnym gorsecie XIX-wiecznego savoir-vivre'u

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Jak nasi przodkowie przeżywali i celebrowali śmierć i żałobę? O zwyczajach związanych ze śmiercią, pogrzebem i żałobą kulturowanych wśród arystokracji i ziemiaństwa w II połowie XIX wieku do 1939 roku opowiada dr Aneta Aleksandra Duda ze Słupska. Znaczący historii materialnej XIX wieku.

Śmierć bliskiej osoby to przeżycie traumatyczne, powodujące wytrącenie z równowagi duchowej, zmieniające często nasze życie w sposób nieodwracalny. Współczesna wiedza psychologiczna sugeruje nietykalne wyrażanie uczuć bólu i żalu, pozwala na swobodne przeżycie żałoby. Takie zachowanie w XIX w. dopuszczalne były jedynie dla warstw niższych, natomiast ziemiaństwo i arystokracja kierowały się swoistym kodeksem, niepozwalającym na okazywanie uczuć, głośne płacze, lamenty, co nie oznacza oczywiście, że takowe, zwłaszcza na pogrzebach, się nie zdarzały. Poza współczuciem dla wdowy czy matki opłakującej dziecko, dominował jednak pewien niesmak i poczucie nieścisłości takich reakcji. Osoba z wyższych sfer powinna była zachować kamienną twarz, spokój, okazać godność i powagę chwili wyrażającą się w powol-

nym, majestatycznych ruchach, wyprostowanej sylwetce.

Żałoba w gorsecie savoir-vivre'u

Jednak żal i rozpacz musiały w jakiś sposób znaleźć ujście i temu służyły drobiazgowo i skrupulatnie zasady savoir vivre'u dotyczące wszystkich sytuacji związanych ze stratą bliskiej osoby.

Przepis mówiący o zasłanianiu przez wdowę twarzy gęstym woalem pozwalał jej na łzy, smutek, ukryte jednak przed wzrokiem ludzkim.

Wskazówki mówiące o nieuczestniczeniu w spotkaniach towarzyskich przez pewien okres miały dać czas potrzebny do oswojenia się z nową, trudną często sytuacją - musimy pamiętać, że często kobieta z dziećmi, nawet ziemianka, jeśli jej mężowi dbanie o majątek czy zarządzanie interesami nie powiodło się, po jego śmierci mogła zderzyć się z problemami finansowymi. Tu zwykle śpieszyła na pomoc rada rodzinna złożona z najbardziej poważanych bliskich krewnych, mężczyzn, którzy podejmowali się zarządzać jej majątkiem lub pomóc przetrwać czas np. do ponownego zamążpójścia, wysłać dzieci na pensję i do szkół, ograniczyć wydatki na prowadzenie

domu. Taka pomoc przy braku środków była wybawieniem, natomiast przy ich posiadaniu często stawała się dla wdowy wręcz opresyjna, bo miała nad sobą ustanowioną kuratelę, ograniczającą jej swobodę. Bywało więc różnie...

Śmierć dobra

Za najlepszą śmierć, traktowaną jako łaskę Stwórcy, uważano spokojne odejście w gronie bliskich. Dzieci i rodzina zjeżdżały się do domu umierającej osoby, by otrzymać jej błogosławieństwo (i często przypomnieć swoją osobę jako ewentualnego spadkobiercę), pożegnać się.

W XIX w. w wielu domach po śmierci bliskiej osoby zasłanianie lustrą i okna czarną materią, tzw. kirem, i zatrzymywanie zegary na godzinie śmierci. Ustawiały spotkania towarzyskie i wyjścia, rodzina przywdziewała żałobę, zamawiała msze, ustalała datę pogrzebu, zazwyczaj dającą spokojny czas na dotarcie dalszych krewnych, i rozsyłała zawiadomienia.

Zmarły, dopóki było to możliwe, spoczywał otoczony intensywnie pachnącymi kwiatami i palącymi się świecami w salonie zmienionym na miejsce modłów. Następnie przenoszony był w trumnie do kościoła.

Zawiadomienia

W tym czasie rodzina wysyłała zawiadomienia o śmierci i przygotowywała stroje żałobne oraz przebieg pogrzebu, jeśli miał być szczególnie uroczysty. Wiadomość o zgonie przesyłano w listach drukowanych lub litografowanych z czarną obwódką, także drukowano w gazetach. Niekiedy w obawie, by kogokolwiek nie pominąć, dodawano na klepsydrze: „Osobne zaproszenia rozsyłane nie będą”.

Do bliskich krewnych wysyłano listy odręczne, zapieczętowane czarnym lakiem, oczywiście także na papierze z obwódkami. Papier taki można było zamówić z herbem wytłaczanym, jeśli rodzina była utytułowana.

Na początku żałoby na papierze obwódki były grube, stopniowo się zwężały w miarę upływu czasu, bowiem przez pewien okres trwania żałoby używano go do pisania zwykłych listów. Zwyczaj ten utrzymał się do lat trzydziestych XX w., wtedy oczywiście już listów nie lakowano, a zaklejało.

Osoby, które otrzymały zawiadomienie, odpowiadały kondolencjami, wysyłanymi w kopertach lakowanych na fioleto. U stróża domu, szwajcara lub w holu pałacu zostawiano także arkusz papieru z pytaniami do pisania. Zapisywały

się na nim osoby przybywające z kondolencjami osobiście, których nie zdołano przyjąć.

Zwyczaje pogrzebowe

Kościół na czas uroczystości pogrzebowej zwykle zdobiono kirem, jedliną i kwiatami. Osoby otrzymujące zawiadomienie i mieszkające na miejscu obowiązane były przyjść chociaż na nabożeństwo, jeżeli nie mogły lub nie chciały być na pogrzebie. W kościele panie modliły się zawsze bez woalki, zdejmowano także rękawiczki, obowiązkowo przed przyjęciem sakramentu komunii.

Jeśli składano do grobu młodą pannę, niekiedy jej przyjaciółki ubierały się na białe, a młodzieńcy niosący trumnę ubierali białe krawaty oraz przypinali do fraków gałązki cyprysu. Postrzegano ten zwyczaj jako formę „družbowania” młodej dziewczynie w przejściu do wieczności.

Umierający często życzyli sobie, by pochować ich w odpowiednim ubraniu - strojnym, skromnym lub np. w habicie tercjarzskim czy innej wspólnoty, jeśli do niej należeli. Dojrzałe kobiety zawsze ubierano w ciemny strój, zazwyczaj czarny lub fioletowy, natomiast młode panny i mężatki chowane były w strojach ślubnych. Starano się,

by suknie były na tyle długie, by fragmenty mogły zwisać się z trumny po przybiciu wieka. Wkładano tak jak dziś w dłoń zmarłych przedmioty związane z wyznawaną wiarą, ale też przedmioty lubiane za życia, np. fajkę.

Podczas ceremonii kościelnej palono wiele świec dla odpowiedniej oprawy przemawiających osób, przypominających zasługi, zwłaszcza mężczyzny. W przypadku ziemiaństwa i arystokracji, jeśli odchodził ostatni męski potomek rodu, łamano podczas pogrzebu tarczę herbowa i szablę zmarłego, niekiedy wprowadzano ulubionego konia z ową tarczą i szablą. W taki sposób chciał być uhonorowany hr. Adam Branicki, ostatni właściciel Wilanowa, nie posiadający męskiego potomka. Niestety, jego śmierć nastąpiła w 1947 r. i komuniści nie pozwolili na taką szlachecką ceremonię.

Kondukt pogrzebowy

Po pogrzebie formował się kondukt pogrzebowy, w którym ściśle przestrzegano odpowiedniej kolejności idących. Za pogrzebem wszyscy szli pieszo - tylko ludzie wiekowi, ułomni lub chorzy mogli jechać w karetach, których latarnie i szyby pokrywano krepą, a koniom przy uprząży dopinano krep-

wie rozety. W karetach jechały także dzieci, jeśli postanowiono je zabierać na pogrzeb, bowiem z oczywistych względów raczej tego unikano.

Żałobniczek z najbliższej rodziny, obowiązkowo wdowa, szły spowite w długi welon, zwieszający się z tyłu i przodu. Obowiązywało to także w dwudziestoleciu: na pogrzebie Piłsudskiego w 1935 r. widzimy jego żonę Aleksandrę w takim właśnie welonie.

Mężczyźni szli z odkrytymi głowami na znak szacunku dla zmarłego. W przypadku wielkiego upału lub zimna mieli jednakże prawo po pewnej chwili nakryć głowy.

Na początku konduktu kroczyła najbliższa rodzina. Najpierw np. wdowa podtrzymywana przez najbliższego jej krewnego lub najpoważniejszego wiekiem albo dorosłego syna. Pozostałe kobiety najbliższe zmarłemu ujmowały pod rękę także obcą sąsiadkę z orszaku. Podobnie jadąc powozem z racji wieku lub stanu zdrowia, także nie jechały same, tylko z inną kobietą lub krewnym. Być może chodziło tu o zabezpieczenie delikatnych pań z towarzystwa przed omdleniem i samotnym upadkiem w tłumie, na co patrzono jako na wydarzenie ogromnie niefortunne.

Bardzo ważny był nastrój smutku, choć - jak powiedziano wcześniej - nie do przyjęcia na pogrzebie wyższych sfer były lamenty, głośne płacze czy np. zawołanie zawodowych płaczek, wynajmowanych przy pogrzebach bogatszego gminu. Natomiast, co ciekawe, piętnowano także zachowanie bardzo obojętne, dowodzące, że zmarły nie zasłużył sobie na pamięć i szacunek. Taka sytuacja miała miejsce w Nieświeżu w 1911 r., kiedy odbywał się pogrzeb Adama ks. Radziwiłła, który niechlubnie sprzedał swój majątek jednemu z twórców Hakaty. Uczestniczący w ceremonii Janusz ks. Radziwiłł pisał do żony, że żałobnicy prezentowali tak mało żalu, że było to aż nieprzyzwoite...

Podczas eksportacji trumny do krypty grobowej w siedzibie rodu, np. w pogrzebach Radziwiłłów w Nieświeżu, trumna ordynata umieszczona była na karawanie zaprzężonym w czwórke lub szóstkę koni, bogato ozdobionych czarnymi piórami i haftowanymi czarnymi derkami. Często też na znak symbolicznego opuszczenia doczesności, na początku szeregu karet, jeśli takie były, jechała pusta i zamknięta kareta zmarłego, z zapalonymi i osłoniętymi krepą latarniami oraz stangretem w czarnej, żałobnej liberii.

Kogo nie zapraszano na pogrzeb lub kto nie powinien się być na nim pojawić? Na początku XX wieku sugerowano, by w kondukcie nie szła matka chowająca swoje dziecko, ponieważ było to dla niej zbyt dramatyczne przeżycie. Niestosowne było

przyjście lekarza na pogrzeb swojego pacjenta, chyba że był z nim zaprzyjaźniony. Na pogrzeb wdowca lub wdowy powtórnie zaślubionej nie zapraszano krewnych pierwszej żony lub pierwszego męża. Wyjątkiem była sytuacja, kiedy utrzymywano nadal dobre stosunki lub kiedy z pierwszego związku były dzieci.

Kwiaty żałoby i smutku

Za najstosowniejsze kwiaty do złożenia na grobie uznawano wszelkie białe i fioletowe z dodatkiem liści palmowych, laurowych, cyprysów i bluszczu. Kwiaty w postaci wiązanek, wieńców, bukietów lub w doniczkach wysyłane były do domu lub do kościoła.

Zwyczaj ozdabiania świeżych grobów wieńcami pojawił się w latach siedemdziesiątych XIX w. Wcześniej wieńczono, czyli obdarowywano bogatymi wieńcami głównie wybitne osoby publiczne podczas przyjazdów, czy śpiewaczki. Były to wieńce z laurem, kojarzące się z uhonorowaniem wyjątkowej osoby żyjącej, z radością z jej przyjazdu. Później dopiero zaczęto kłaść je na grobach młodych pań i młodzieńców oraz wybitnych jednostek, następnie zwyczaj się upowszechnił. Na początku XX w. był on ganiący jako zbytek, a także wskazywano na częste błyskawiczne znikanie wieńca tuż po pogrzebie. Cóż, skąd my to znamy...

Już w XIX w. wprowadzano zwyczaj składania datków na cel dobroczynny zamiast kupowania kwiatów na grób. Funkcjonowało już także zastępowanie kwiatów naturalnych sztucznymi - robiono je z materiału, porcelany, a także ...z pereł. Tu także obowiązywała zasada, że dla zmarłych starszych wiekiem posyłało kwiaty ciemniejsze, dla młodych - białe.

Wstęgi do wieńców i bukietów tak jak dziś były czarne, fioletowe lub białe, a napisy czarne, złote lub srebrne. Unikano wstęg w kolorach jaskrawych. Dla ludzi wybitnych i zasłużonych przygotowywano wieńce z liści dębu lub lauru.

Stypa

W kręgach arystokracji i ziemiaństwa nie praktykowano po prostu pogrzebu zwanego stypą, jeśli pogrzeb odbywał się w mieście. Natomiast jeśli żałobnicy przyjeżdżali na wieś, należało ich odebrać powozem lub autem (w XX w.) ze stacji, a także podjąć śniadaniem lub obiadem.

Nie miało być to wystawne przyjęcie, byłoby to w złym tonie. Rodzina zmarłego nie była obowiązana na nim być, udział był dobrowolny, najważniejsze było podjęcie dalszych krewnych.

Zachowanie na stypie powinno było być jak najbardziej skromne i powściągliwe, źle odbierane było nadmierne konsumowanie, nie mówiąc o spoży-

waniu alkoholu, podawanego oszczędnie. Przekazy dotyczące stypy są jednak różnicowane, wydaje się, że zwyczaje mogły być tu różne. W wyższych sferach starano się jednak nie zbliżać do tradycyjnej biesiady wydawanej po pogrzebach bogatszych chłopów.

Kondolencje i wizyty

Po pogrzebie rodzina dziękowała za składane kondolencje, wysyłane przesyłki do ozdoby trumny i wzięcie udziału w uroczystości żałobnej, wysyłając listy na papierze z czarną obwódką oraz drukowane w dziennikach. Z strony osób znających zmarłego i rodziny dalszej bardzo istotne było wyrażenie swego żalu i współczucia rodzinie.

Wszystko oczywiście było dokładnie przewidziane w przepisach towarzyskich. Najpierw wysyłano listy kondolencyjne pieczętowane fioletowym lakiem - czynili to członkowie rodziny, bliźni i dalsi lub osoby, które chciały wyrazić żal po osobie zasłużonej lub dla nich osobiście ważnej. Znajomi składali swoje karty wizytowe osobiście, wtedy zaginano prawy dolny róg lub cały prawy brzeg w stronę przeciwną tej, na której jest nazwisko, czyli na niezapisaną. Składano je w domu osoby, od której otrzymali zawiadomienie o pogrzebie.

Rodzina i przyjaciele składali wizytę kondolencyjną w domu zmarłego ok. trzech tygodni po pogrzebie, nie przekraczając tego terminu, ubrani na czarno, w czarnych rękawiczkach, bez dzieci. Dokładne określenie tego czasu ma swoje uzasadnienie psychologiczne - po trzech tygodniach duży ból po stracie mógł już nieco zelżeć, rodzinie było łatwiej zachować się powściągliwie. Rozmowa o zmarłym na tym etapie przynosiła ukojenie, a odwiedzający skupiali się

na tym, by podnosić jego zalety i wspierać na duchu bliskich. Jednak należało unikać rozmowy o zmarłym przynajmniej dopóty, dopóki osoba, z którą się rozmawia, sama nie wspomni o nim. Nie należało także dać ponieść się emocjom, co było bardzo istotne. Wizyty kondolencyjne nie powinny były trwać dłużej niż kwadrans.

Natomiast rodzina zmarłego składała wizyty lub zostawiała karty u wszystkich ważniejszych osób uczestniczących w pogrzebie, czyniła to ok. sześciu tygodni po pogrzebie.

Czas żałoby

Czas trwania żałoby był różnicowany. Najdłuższą była żałoba noszona przez wdowy, trwała ona dwa lata: rok żałoby wielkiej, sześć miesięcy zwyczajnej i sześć miesięcy półżałoby. W innej wersji, staropolskiej, był to rok i sześć niedziel, czyli tygodni. Był to także okres żałoby dla wdowców i dzieci po rodzicach.

Żałoba po rodzeństwie nie wymagała welonu i krepowej sukni, jedynie obszyć przy mankietach i kołnierzyku. Kobiety zakładały welniane suknie, a następnie jedwabne. Trwała ona ok. pół roku.

Po dziadku lub babce wnuczki po trzech miesiącach zdejmowały krepę i zakładały zwykłe czarne suknie, a pod koniec roku młodzież mogła nosić kolor popielaty i biały z czarnym.

W przypadku bliższych krewnych - ciotek i wujów - żałoba obowiązywała kwartał, po dalszych krewnych noszono ją kilka tygodni. Kobiety nie musiały w tym przypadku spowijać się w ponurą krepę.

Żałoba po dzieciach pozostawała sprawą prywatną; w XIX w. raczej jej nie stosowano, choć w ostatnich dziesięcioleciach XIX w. to się zmieniło.

Po dalszych krewnych należało nosić żałobę, kiedy rodzina zawiadomiła o jego śmierci. Małżonkowie żyjący w separacji także byli zobowiązani do noszenia żałoby po sobie. Dobrowolne było nałożenie żałoby po śmierci przyjaciółki i niektórych panie tak czyniły. Co ciekawe - jeśli odziedziczyło się sporą sumę po osobie niespokrewnionej, także było się zobligowanym do kilkutygodniowej żałoby.

Strój żałobny

Pod największym ostrzałem spojrzeń były oczywiście kobiety, które musiały być spowite w żałobną krepę długiej sukni i welonu, zasłaniającego sylwetkę z tyłu i przodu. Wolał być spuszczonej nawet w największym upału. Tak powinna wyglądać wdowa; najbliższe krewnie zmarłego zastrzeżone twarze gęstymi czarnymi welonami. Welony upinane były na kapeluszach, często na tzw. kapotkach, czyli kapeluskach kojarzących nam się dziś z Czerwonym Kapturkiem, tylko czarnych.

Suknia na pogrzeb powinna była być powłóczysta, z obszyciami czarnym materiałem w postaci pasków. W różnych okresach panowała moda także na białe paski naszyte na czarnej sukni, podkreślające czerń stroju.

Żałoba, jako nie tylko oznaka żalu po stracie osoby, ale i dowód szacunku, nie była kwestią prywatną tak jak dziś, stawiała się pewną formą życia społecznego. Zlekceważenie jej zasad mogło spowodować daleko idące skutki negatywne. Przykładem z połowy XIX w. takiej sytuacji było poślubienie przez Elżę Krasieńską, wdowę po Zygmuncie, ukochanego Ludwika Krasieńskiego przed zakończeniem żałoby, za co spotkała ją powszechny ostracyzm towarzyski (i wiel-

kie szczęście w małżeństwie, w którym wreszcie to ona była jedyną ukochaną kobietą, nie dzieląc się mężem z Delfiną Potocką, jak to było w czasie trwania jej małżeństwa z Zygmuntem).

Pierwszą fazą żałoby była tzw. wielka, ciężka, gruba. Charakteryzowała się zakładaniem tylko matowych strojów, skromnych, bez ozdób, a twarz zasłanianiano welonem. Krój sukni stosowano do panującej mody, najistotniejszy był tu materiał - preferowano wełnę i krepę. Na dole sukni naszywano załóżnik od mody albo zakładki czarne i pomiędzy nimi białe, ale tylko białe. Strój kobiety był bardzo istotny, zwłaszcza wdowy, bowiem to ona stanowiła niejako „żałobną reprezentację rodziny”. Kobiety zakładające na co dzień suknie kolorowe, zmieniały swój wygląd radykalnie, kiedy mężczyźni i tak ubrani zwykle ciemno, stosowali jedynie pewne dodatki. U panów ciężka żałoba polegała na czarnym ubiorze w całości, także na czarnym krawacie wykonanym z krepy lub matowego jedwabiu.

Druga faza żałoby, tzw. zwyczajna, dopuszczała cieńsze tkaniny, bardziej ozdobne i nieco błyszczące, także jedwab. Dopuszczalne były dodatki ozdobne do sukni i żałobna biżuteria. Można było odpruć naszytą czarno-białą.

Mężczyźni pozostający w służbie wojskowej na znak żałoby nosili obszycie krepą na ramieniu, a także czarną krepę u rękodości szabli na znak żałoby narodowej. Funkcjonowała także żałoba oficjalna, czyli po dalekich krewnych, trwająca od sześciu do ośmiu tygodni, odznaczająca się także noszeniem przepaski krepowej na ramieniu. Ta forma utrzymała się najdłużej, preferowano ją u panów także do 1939 r.



Pogrzeb osób zmarłych z klas niższych organizowany był według innych zasad niż w przypadku osób z ziemiaństwa i arystokracji.

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 24 tworzą rozwiązanie – przysłowie angielskie.

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 24 utworzą rozwiązanie – przysłowie angielskie.

ROZWIĄZANIE: SMUTNE GODZINY TRWAJĄ DŁUGO.

Słownik: garna, karneol, lewada, „Manon”, Sue, syta,

ROZWIĄZANIE: PIENIĄDZE UŁATWIAJĄ ZNOSZENIE UBOSTWA.

Był październik 1999 roku, gdy z taśmy zakładów Daewoo - FSO zaczęły zjeżdżać Daewoo Matizy, których nie wyprodukowano tyle co „maluchów”, ale które dziś mają status kultowych!

Końcówka 1999 roku była ważna dla historii polskiej motoryzacji: wtedy to, 18 października rozpoczęła się w zakładach Daewoo - FSO produkcja niewielkiego samochodu osobowego, który do dziś ma swoich miłośników, który w roli kampera dotarł z częstochowianinem Hubertem Zasepą na Nordkapp - jedno z najdalej wysunięte na północ Europy, norweski klif o wysokości ponad 300 m n.p.m., i który jest dziś polecany przez preppersów - amatorów sztuki przetrwania w sytuacjach kryzysowych!

Daewoo Matiz, bo o nim mowa, ma dziś 26 lat i niedawno obchodził urodziny. To znaczy obchodzą jeszcze dość liczne samochody tego typu, należące do pasjonatów, którzy na internetowych forach dzielą się chętnie informacjami o ulepszeniach i nowych elementach zdobniczych swoich perełek. Bo Matiz, choć w Polsce już nie jest produkowany od 2007 roku, wciąż ma swoich wielbicieli - i podobnie jak Fiaty 126p i Fiaty Seicento - uznawany jest za samochód kultowy!

Lucciola była hybrydą!

Cofnijmy się w czasie jednak nieco dalej niż do 18 października 1999 roku: już w 1993 roku w czasie targów motoryzacyjnych w Turynie zaprezentowano samochód koncepcyjny Lucciola według projektu studia Italdesign Giugaro.

Robaczek świętojański, świetlik, bo tak można tłumaczyć z włoskiego tę nazwę, w pewien sposób wyprzedził swój czas - był niewielki lecz wygodny, miał fotele regulowane dzięki specjalnemu stelażowi, składany dach i aluminiowe panele karoserii. Wnętrze za to przygotowano z materiałów, które można po zużyciu recyklingować. A co ciekawe - jego napęd był... hybrydowy!

Lucciola miała pod maską silnik diesla o pojemności pół litra i o mocy 7,5 konia mechanicznego plus silnik elektryczny o mocy 9,5 konia mechanicznego, który - jak podaje portal Autofakty.pl - mógł zapewnić samochodzikowi nawet 50-kilometrowy zasięg na prądzie!

Fiat jednak ze względów finansowych nie podjął wyzwania, postawił na modernizację Cinquecento, skutkującą powstaniem Seicento, a projekt Luccioli sprzedał Koreańczykom - firmie Daewoo. Ci przez prawie 2,5 roku przekształcili projekt w model Daewoo Matiz i w 1998 roku rozpoczęli jego produkcję. Również w tym roku, w grudniu, z taśm produkcyjnych w Polsce - fabryki FSO na Żeraniu - zjechały pierwsze

Lucciola wyglądała korzystniej od Fiata Cinquecento, jednak włoski koncern nie zaryzykował przygody z nią.



Matiz, czyli Lucciola z Żerania

prawie polskie Matizy. Prawie, bo montowano je z dostarczanych do zakładów elementów.

Z czasem wprowadzano coraz więcej krajowych części i gdy ich poziom osiągnął wielkość 40 proc., w październiku 1999 roku, mogliśmy już produkować, a nie tylko montować Matizy. Przy okazji - w 2000 roku aż 65 proc. części wychodziło spod rąk polskiej załogi. Produkcja w barwach Daewoo trwała do 2004 roku, a później, już jako FSO - do 2007 roku. Ostatnie seryjne polskie Matizy trafiły na rynek w 2008 roku.

Trzy gwiazdki po zderzeniach

Użytkownikom mógł się Matiz podobać - bardzo mało palił, w środku zapewniał zaskakująco dużo miejsca dla czterech osób, miał zgrabną sylwetkę z czworgiem drzwi, niepowtarzalnymi reflektorami, dobrze zaprojektowanymi i wykonanymi tak, że były dość odporne na słabe uderzenia. Mówiąc o uderzeniach - przeszedł testy Euro NCAP, z 19 punktami po zderzeniach czołowych, czyli trzema gwiazdkami na pięć (Seicento miał dwie, był też droższy od swojego koreańskiego konkurenta). I miał czteroletnią gwarancję bez limitu kilometrów. Minusem był mały bagażnik, 104-litrowy i brak możliwości podpięcia za samochodem przyczepki.

Nie tylko Polska sięgnęła po to niewielkie, proste, ale oszczędne i wytrzymałe auto. W Indiach jedna z serii Matizów otrzymała nawet czujniki par-

kowania w tylnym zderzaku, a Chińczycy zaprezentowali najwyższą formę uznania, niejako kopiując auto nielegalnie w postaci modelu Chery QQ, o co podali ich do sądu Amerykanie z General Motors, spadkobiercy Daewoo.

W Polsce w pierwszym roku produkcji FSO Daewoo wypuściło blisko 80 tys. sztuk Matizów, w drugim roku - 33 tysiące, a w trzecim - 15 tys. sztuk.

Najdłużej Matiza produkowano w Uzbekistanie - tam

wytwarzanie tego auta rozpoczęło się w 2001 roku, a zakończyło się w 2018 roku. Te samochody trafiały na lokalny rynek, gdzie m.in. służyły jako radiowozy policyjne, jak i na rynki obce - np. rosyjski, gdzie sprzedawane były jako Ravon Matiz. Przy okazji rosyjskich odbiorców: już po rozpoczęciu wojny na Ukrainie, w Internecie pojawiło się ogłoszenie sprzedaży rosyjskiego Matiza na... podwoziu gąsienicowym!

Zakup z bonusem

Użytkownikiem Daewoo Matiza jest m.in. Michał Snela z podpoznańskiego Kaźmierza. Choć najczęściej jeździ Dacją Dusterem, a więc autem większym od następcy Luccioli, to mały Daewoo w kolorze pomarańczowo-złotym, cieszy się u niego wyjątkowymi względami.

- To samochód wystarczający do tego, by wsiąść i pojechać do sklepu, paczkomatu, na jakąś niewielką odległość -

takie auto podręczne - mówi Michał Snela. - Wcześniej był zadbanym oczkiem w głowie jednego z członków rodziny, a po jego śmierci, trafił do nas. Szkoda było, by taki samochód poszedł w obce ręce, więc znalazł nowy dom tam, gdzie kiedyś przyjeżdżał z wizytami.

Matiz odwdzieczył się na początku niespodziewanym wsparciem finansowym - garścią monet, zapewne przechowywanych przez poprzedniego właściciela jako opłata do parkometrów, a później - bezawaryjnym użytkowaniem.

- Teraz ma już dość słaby akumulator, ale poza tym nie można o nim złego słowa powiedzieć - mówi Michał Snela. - Rocznik 1999, z centralnym zamkiem, elektrycznie otwieranymi szybami, poduszką powietrzną, dość wygodny i naprawdę niewiele spalający benzyny. Na razie też nie wymaga wkładu finansowego, jest niezawodny i dosłownie - pewny. Tylko wsiąść i jechać...

Matiz Michała i jego żony Urszuli, wbrew pozorom nie doczekał się własnego imienia. W rodzinie od początku mówiono o nim „Matiz” i jako taki zdążył już zaskarbić sobie sympatię w rodzinie. Ta nazwa oznacza zatem zarówno samochód użytkowy, maskotkę - i najstarsze auto, a więc traktowane z pewnym szacunkiem w kategorii zabytku.

- Wiem, że są kluby miłośników Matiza i - nie dziwi mnie to: on zasługuje by być autem kultowym, choć szkoda, że nie dane mu było, wskutek decyzji niezainteresowanych nim właścicieli FSO, rozwijać się - kończy Michał Snela.

Grzegorz Okoński



Kierownik działu ogłoszeń: Magdalena Śliwińska, m.sliwinska@dziennik.lodz.pl
tel. 502 499 114

ŁÓDŹ, ul. Kolumny 6/36, tel. 502 499 119, C.H. Nowa Górna (Carrefour)

USŁUGI KAMIENIARSKIE
USŁUGI POGRZEBOWE

ANKA, godz. 9 -20, 510-917-716

TRENER ZAGŁĘBIA LUBIN: BYLIŚMY LEPSZĄ DRUŻYNĄ

Jan Hofman

Awans piłkarzom Widzewa do 1/8 finału Pucharu Polski zapewnił celny strzał Bartłomieja Pawłowskiego.

Po meczu widzowiak powiedział: - Nie ma różnicy, kto stał w bramce. Czy Rafał, czy ktoś inny stwierdziłem, że mecz jest na tyle szarpany, że chciałem znaleźć moment, który można przekuć na gola. Jestem osobą, która mocno wierzy w siebie, a do szalonych świat należy, więc stwierdziłem, że uderzę. I się oplotało.

- Mecze pucharowe są trudne, przegrywałem z rywalami z niższych lig, o zwycięstwie decyduje jeden moment, nie ma drugiej szansy. Są chwile, gdy czujesz, że możesz coś wziąć na siebie i ją poczułem.

Igor Jovičević, trener Widzewa: - To był trudny bardzo intensywny. Cena za jeden popełniony błąd była bardzo duża. Obie drużyny miały plan na to spotkanie, my byliśmy mocniejsi mentalnie i wygraliśmy spotkanie. Ten gol był owocem naszej wiary. Chcieliśmy dać bardzo dużo naszym kibicom, którzy zasługują na to, żeby się cie-



Igor Jovičević

żyć. Od jutra chcę jednak jeszcze więcej od całej drużyny.

Leszek Ojrzyński, szkoleniowiec Zagłębia: - Gratulacje dla rywali, ponieważ wiemy, jakim wynikiem zakończył się ten mecz. Jesteśmy niezadowoleni, bo byliśmy lepszą drużyną, ale co z tego, skoro nie wykorzystaliśmy sytuacji i nie wystrzegaliśmy się pomyłek. Można usłyszeć, że należał nam się rzut karny, jednak nie chcę się podejmować oceny. Piłka nożna jest grą błędów, a my je popełniliśmy. Wracamy z głowami w dół, została nam liga, chociaż marzyliśmy o dłuższej przygodzie w Pucharze Polski.

W niedzielę Widzew - Legia



Walki w meczach Widzewa i Legii nie brakuje.

Jan Hofman

Bez wątplenia kibice piłkarskiej drużyny Widzewa nie mogą w ostatnim czasie narzekać na brak emocji.

Dopiero co denerwowali się podczas meczu Pucharu Polski z Zagłębiem Lubin, a tu już w niedzielę wielkie wyzwanie, ligowy klasyk, czy prestiżowy pojedynek z Legią Warszawą.

Spotkanie 14. kolejki ekstraklasy na stadionie przy al. Piłsudskiego rozpocznie się o godz. 20.15.

Stołeczna drużyna, podobnie jak łódzka, zawodzi w nowym sezonie. Wystarczy powiedzieć, że zespół rumuńskiego szkoleniowca, Edwarda Iordanescu, jest dopiero dziesiąty w tabeli ekstraklasy i ma tyle samo punktów do Widzewa

- szesnaście. Legia traci już 10 oczek do prowadzącego Górnika Zabrze. A to stawia pod znakiem zapytania mistrzowskie aspiracje stołecznego klubu.

W poprzedniej kolejce Wojskowi bezbramkowo zremisowali u siebie z Lechem Poznań. Trener Iordanescu po tym meczu powiedział, że oczekuje więcej od swoich ofensywnych piłkarzy. W tym sezonie ekstraklasy tylko dwie drużyny elity zdobyły mniej bramek od legionistów. Warszawska drużyna w tych rozgrywkach zdobyła 14 goli w lidze. Tylko Piast Gliwice (10) i Arka Gdynia (9) są gorsze pod tym względem.

Warto pamiętać, że złą pasę Legia przerwała w poprzedni czwartek, wygrywając z Szachtarem Donieck 2:1 w Lidze Konferencji.

Gikiewicz wrócił i dał... pucharowe zwycięstwo



To był fatalny powrót do Łodzi Rafała Gikiewicza.

Piłkarze Widzewa w meczu 1/16 finału Pucharu Polski, rozegranym w Łodzi, pokonali po dogrywce 1:0 Zagłębie Lubin. Ogromna w tym zasługa Rafała Gikiewicza.

Jan Hofman

Zapominalskim przypominamy, że to nowy bramkarz drużyny gości, który popełnił kardynalny błąd po strzale z dystansu w wykonaniu Pawłowskiego.

Popularny Giki debiutował w bramce Zagłębia, do niedawna był zawodnikiem Widzewa. 38-latek nie popisał się w drugiej części dogrywki. Rzut wolny z 35 metrów wykonywał Pawłowski, który pojawił się na boisku dopiero w 91 minu-

cie pojedynku. Widzewiak silnie strzelił w środek bramki, a Gikiewicz popełnił koszmarny błąd i piłka wylądowała w siatce. Pewnie nie o takim powrocie do Łodzi marzył obecny golkiper Zagłębia.

W łódzkiej drużynie od pierwszej minuty zagrał Zeqiri, ale trudno napisać coś dobrego o jego postawie.

Na pewno pierwsza część spotkania nie porwała widzów. Dość niespodziewanie przewagę mieli goście. Zdobyli nawet gola w trzynastej minucie, ale sędzia po konsultacji z VAR,



Bartłomiej Pawłowski dał zwycięstwo Widzewowi.

anulował go. Później drużyna z Lubiona miała jeszcze dwie wyśmienite okazje do objęcia prowadzenia, ale za pierwszym razem sytuację uratował Ilić, a za drugim Żyro.

Także po przerwie nie było wielkich emocji. Na murawie oglądaliśmy dużo walki, ale trudno było mówić o piłkarskiej jakości. W 75 minucie na noszach boisko opuścił Krajewski. Widzewiak doznał kontuzji bez udziału rywala. Wszystko wskazuje na to, że to poważny uraz obrońcy RTS

i młodzieżowej reprezentacji Polski.

Znacznie więcej emocji było w doliczonym czasie gry. Widzew zwycięskiego gola uzyskał w dogrywce i zagra w 1/8 finału Pucharu Polski.

● **Widzew - Zagłębie Lubin 1:0 (0:0, 0:0)**

1:0 - Pawłowski (112)
Widzew Łódź: Ilić - Krajewski (75' Visus), Andreou, Żyro, Gallapeni - Alvarez (79' Czyż), Selahi (91' Pawłowski), Shehu - Akere (67' Baena), Zeqiri (67' Bergier), Fornalczyk.
Zagłębie Lubin: Gikiewicz - Corluka, Michalski, Ławniczak, Yakuba - Kolan (46' Kocaba), Radwański - Sypek (67' Wdowiak), Szmyt (75' Makowski), Lucić (90' Nalepa) - Kosidis (75' Rocha).

Grot SMS Łódź gra z mistrzem Polski

Jan Hofman

Piłkarki nożne ekstraklasy, po przerwie przeznaczonej na mecze reprezentacji Polski, wracają do rywalizacji punkty.

Szalenie trudne wyzwanie czeka drużynę Grot SMS. Łódzianki w niedzielę wybierają się do Katowic na spotkanie z GKS. Jest to aktualny mistrz Polski, który w tym sezonie stracił już dziewięć punktów i ma bardzo małe szanse na obronę tytułu. Podopieczne trener Karoliny Koch zako-

czyły już rozgrywki w Europie i na pewno chcą przynajmniej zająć miejsce na podium w lidze i zająć jak najdalej w rywalizacji Pucharu Polski. Rywalki mają na tę chwilę tyle samo punktów co Grot SMS, ale również dwa zaległe mecze. To one będą faworytem tego starcia, ale łódzianki zapowiadają ambitną walkę. Mecz rozpocznie się o godz. 12.

Klub prowadzi ciągły nabór do sekcji do piłki nożnej dziewczyn w wieku 5 - 12 lat. Zapisy tel. 606708647 lub e-mailem janusz@smslodz.pl.



Piłkarki łódzkiej drużyny.

W ŁKS wysokie pensje nie wpłynęły na wynik

Połowa klubów piłkarskiej pierwszej ligi utrzymuje wskaźnik udziału wynagrodzeń do przychodów na wymaganym przez UEFA poziomie 80 procent.

Jan Hofman

Tak wynika z raportu przygotowanego przez firmę Grant Thornton, a dotyczącego poprzedniego sezonu.

Koszty wynagrodzeń są jedną z kluczowych pozycji w budżetach klubów piłkarskich, dlatego utrzymanie odpowiedniego poziomu wynagrodzeń w stosunku do generowanych przychodów jest istotne dla stabilności finansowej klubu. Próg wydatków na wynagrodzenia wynosi obecnie 70 procent.

W sezonie 2024/2025 jedynie osiem klubów pierwszej ligi spełniło wymogi ustalone przez UEFA (obowiązywało 80 procent), podczas gdy w sezonie 2023/2024 (dla poziomu 90 procent) liczba ta wynosiła 13.

Pokazuje to, że zaostrzanie z sezonu na sezon regulacji UEFA stanowią coraz większe wyzwanie dla klubów. Najniższy współczynnik w zestawieniu osiągnęła Stal Rzeszów - 37 procent. Wynik ten jest wyróżniającym się poziomem



Drużyna ŁKS, która rywalizowała w sezonie 2024/2025.

FOT. GRZEGORZ GALESINSKI

i znacznie wyprzedzającym drugą w zestawieniu Wisłę Kraków, która również osiągnęła bardzo dobry poziom wskaźnika - 58 procent. ŁKS 68 procent przychodów.

Najwyższy współczynnik wynagrodzeń odnotowały: Polonia Warszawa (129 %), Stal Stalowa Wola (123 %) oraz Wisła Płock (97%).

Wyższe przychody klubów umożliwiają zwiększenie budżetów na wynagrodzenia, które to z kolei powinny - przynajmniej w teorii - przekładać się na większe szanse sportowe.

Analiza wskazuje, że wydatki na wynagrodzenia faktycznie są dość silnie skorelowane z miejscem zajmowanym w tabeli na koniec sezonu. Im wyż-

sze środki przeznaczone na wynagrodzenia w klubie, tym lepsza pozycja klubu w rozgrywkach.

Wyjątkiem od tej zależności w sezonie 2024/2025 były Ruch Chorzów i ŁKS Łódź, które mimo wydatków na wynagrodzenia wyższych od średniej ligowej uplasowały się w dolnej części tabeli, zajmując odpowiednio 10. i 11. miejsce.

ŁKS w sezonie po spadku z ekstraklasy osiągnął przychody w wysokości 25,6 mln, co zaowocowało 4. miejscem w rankingu przychodów klubów I ligi, za Wisłą Kraków (50,80), Miedzią Legnica (32,65) i Stalą Rzeszów (26,52).

Występy na niższym szczeblu rozgrywek odbiły się wy-

rażnie na wpływach z tytułu scentralizowanych praw mediowych i marketingowych (spadek o ok. 65 procent!). Z drugiej strony, Rycerze Wiosny zarobili więcej z tytułu przychodów komercyjnych (wzrost o niemal 3 mln zł), a także osiągnęli 3. wynik w lidze w przychodach ze sprzedaży zawodników. Warto również zwrócić uwagę, że występy na zapleczu ekstraklasy nie przyniosły zauważalnego obniżenia przychodów z dnia meczowego (średnia frekwencja - 6 581, 5,92 mln zł).

● Kolejny mecz ligowy ŁKS rozegra w poniedziałek na własnym stadionie. Łodzianie w spotkaniu 15. kolejki podejmą Śląsk Wrocław (godz. 18.45).

DZIŚ W ŁODZI POJEDYNEK BUDOWLANYCH Z CHEMIKIEM

Jan Hofman

Przed siatkarkami ekstraklasy czwarta kolejka sezonu.

Już dziś do rywalizacji przystąpią zawodnicze drużyny PGE Budowlani. Łodzianki w hali przy al. Unii zmierzą się z LOTTO Chemikiem Police. Początek spotkania o godz. 17.30.

Podopieczne trenera Macieja Biernata po falfarscie na inaugurację rozgrywek (porażka 2:3 ze Stalą Mielec) pokazały jednak, że są poważnymi kandydatkami do złotego medalu mistrzostw Polski. Wygrały dwa mecze, a ostatni triumf nad aktualnym mistrzem Polski (3:2 z KS DevelopRes Rzeszów) pokazał, że w łódzkim zespole drzemią duże możliwości i aspiracje do czołowych miejsc w mistrzowskiej rywalizacji nie są na wyrost. Po tym spotkaniu Maja Storcka i Karolina Drużkowska zostały wybrane do drużyny kolejki.

Z kolei zespół ŁKS Commercecon zagra na wyjeździe. W niedzielę (godz. 17.30) łódzka drużyna walczyć będzie na parkiecie beniaminka rozgrywek - EcoHarpoon NOWEL LOS No-



Maciej Biernat, trener Budowlanych.

FOT. GRZEGORZ GALESINSKI

wy Dwór Mazowiecki. To historyczne wydarzenie dla tej drużyny, bowiem po raz pierwszy gra w najwyższej klasie rozgrywkowej. Celem zespołu debiutującego jest utrzymanie, ale już teraz widać, że będzie to szalenie trudne, bowiem zespół z Mazowsza przegrał trzy mecze, w których cieszył się jedynie z wygrania jednego seta.

Trenerem drużyny jest Bartosz Kujawski, który wprowadził ją do ekstraklasy. Z powodu ograniczonego budżetu klubu pełni on nie tylko funkcję szkoleniowca, ale również... dyrektora sportowego i kierownika drużyny.

Wiadomości w skrócie



Bayern zdobywa gola.

FOT. PAP/EPIC/CHRISTOPHER NEUNDORF

Jan Hofman

Byli szkoleniowcem Chelsea Londyn Avram Grant nie jest już selekcjonerem piłkarskiej reprezentacji Zambii.

Jego podopieczni nie zdołali zakwalifikować się do przyszluszczonych mistrzostw świata. Izraelski trener posiada także polskie obywatelstwo.

● Koszykarze Chicago Bulls wygrali u siebie z Sacramento Kings 126:113. Dzięki temu podopieczni Billy'ego Donovana pozostają jedną z dwóch niepokonanych ekip w Konferencji Wschodniej ligi NBA. Z bilansem 4-0 Byki wyrównali swój najlepszy start od sezonu 2021/22.

● Joachim Persson, duński trener dwukrotnego ćwierćfinalisty olimpijskiego w badmintonie Andersa Antonsena, został

zawieszony na cztery lata za obstawianie wyników meczów - poinformowała światowa federacja (BWF).

● Broniący tytułu piłkarze Paris Saint-Germain, mimo remisu z Lorient 1:1 w 10. kolejce francuskiej ekstraklasy, utrzymali prowadzenie w tabeli. Wpadki zaliczyli bowiem również najgroźniejsi rywale - Olympique Marsylia zremisował z Angers 2:2, a Lens przegrało z Metz 0:2.

● Bartosz Białek zdobył bramkę dla SV Darmstadt w wygranym 4:0 z Schalke 04 Gelsenkirchen meczu 1/16 finału piłkarskiego Pucharu Niemiec. Zwycięstwo - 14. z rzędu od początku sezonu - odniósł też Bayern Monachium. Mistrz kraju pokonał 4:1 FC Koeln, w którym do 79. minuty grał Jakub Kamiński

W Pabianicach pamiętają o olimpijczykach

Jan Hofman

Na pabianickim cmentarzu uhonorowano pamięć olimpijczyków, którzy rozślawiali w świecie Polskę i swoje miasto.

Prezesi Regionalnej Rady Olimpijskiej w Łodzi Mieczysław Nowicki i Tomasz Rosset, prezydent Pabianic Grzegorz Mackiewicz, dyrektorzy MOSiR Łukasz Stencel i Mirosław Trześniewski oraz dyrektorzy Szkoły Podstawowej nr 8 z Oddziałami Integracyjnymi nr 8 w Pabianicach Agnieszka Trzeszczak

i Szkoły Podstawowej nr 13 w Pabianicach Anna Michalak złożyli kwiaty i zapalili znicze na grobach Jadwigi Wajsówny i Andrzeja Skrzydlewskiego.

Warto odnotować, że z pabianicką młodzieżą spotkała się Beata Rosolska, która ma w swoim dorobku m.in. trzy olimpijskie medale. Srebrny, zdobyty w Pekinie 2008 oraz dwa brązowe z Londynu 2012 i Rio de Janeiro 2016. To jedna z niewielkiego grona polskich olimpijczyków, którzy nie tylko zdobyli trzy medale, ale dokonali tego na różnych igrzyskach.



Chwila zadumy nad grobami olimpijczyków.

FOT. ARCHIWUM

Patrycja Markowska kweitnie u boku męża

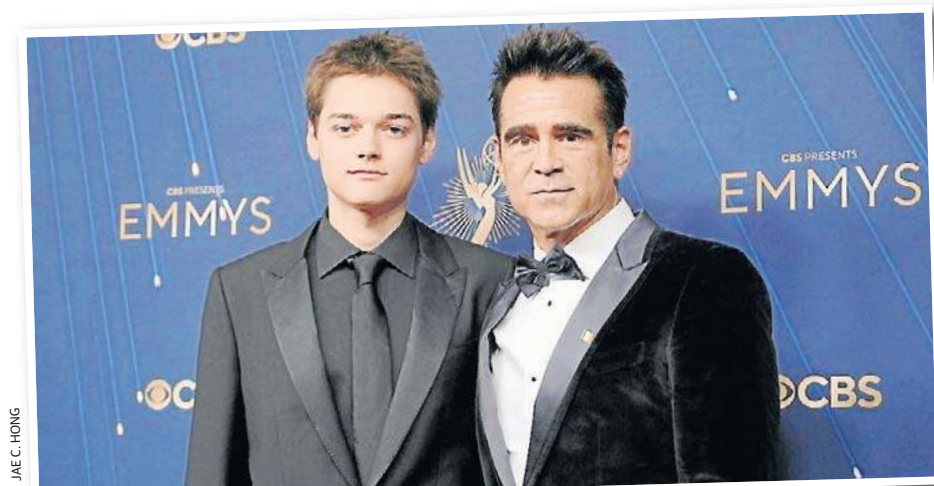


Patrycja Markowska bardzo długo chroniła fakt, że w jej życiu pojawił się wyjątkowy mężczyzna, Tomasz Szczęsny. Nic więc dziwnego, że chociaż zdecydowali się stanąć na ślubnym kobiercu, trzymali to w tajemnicy. O tym, że piosenkarka jest już po ślubie, poinformowała swoich fanów kilka tygodni po fakcie. Show-news.pl jako pierwszy donosił, że Markowska zorganizowała wesele pełne luzu, bez pośpiechu, za to z bliskimi osobami. **(AK)**

Patrycja Markowska jest szczęśliwie zakochana i nie zamierza tego ukrywać. Niedawno pojawiła się na premierze filmu „Szkoła, że nareszcie”, na którą zabrała swojego ukochanego męża. Tomasz rośnie na nową gwiazdę? Czas pokaże. Pewne jest jednak, że sporo znanych osób mogłoby się od niego uczyć odpowiedniego wyczucia stylu, na co w rozmowie z Telemagazynem zwrócił uwagę Daniel Jacob Dali.

Syn Alicji Bachledy-Curuś i Colina Farrella

Emmy 2025 wręczone. Nagrody zwane też „telewizyjnymi Oscarami” trafiły do laureatów, a na czerwonym dywanie nie brakowało polskich akcentów. W błyskach fleszy pozował syn Alicji Bachledy-Curuś i Colina Farrella - Henry Tadeusz. Nastolatek wyrasta na przystojnego młodzieńca. Choć na co dzień Alicja Bachleda-Curuś mieszka w Stanach Zjednoczonych, także w Polsce ma sporo fanów, którzy pamiętają jej rolę w kultowych filmach. Mowa oczywiście nie tylko o „Panu Tadeuszu”, ale także o świeższych produkcjach takich jak „7 rzeczy, których nie wiecie o facetach” i „Pitbull. Niebezpieczne kobiety”. Aktorka jest także mamą. Ma syna Henry’ego Tadeusza, którego ojcem jest Colin Farrell. Rodzice chłopca poznali się w pracy, a konkretniej na planie „Ondine”, gdzie połączył ich romans. Na początku października 2009 roku powitali na świecie syna. Wszyscy ci, którzy zastanawiają się, ile syn Bachledy-Curuś ma lat, doskonale już wiedzą, że lada moment będzie świętować 16. urodziny. **(AK)**



FOT. JAC C. HONG



FOT. MAT PRAS

Janda z grubszą warstwą podkładu na twarzy

TVP Kultura zorganizowała uroczystą galę z okazji swojego 20-lecia. Jubileusz stacji postanowiono uczcić uroczystą galą, w trakcie której zaplanowano wręczenie nagród ministra kultury. Wydarzenie przyciągnęło na ściankę wiele znanych postaci. Pojawił się m.in. Andrzej Pągowski, a Maria Peszek z wielkim kwiatem przy garsonce śpiewała ze sceny. Do zdjęć pozowała także Krystyna Janda, jak zwykle oszczędna w stylizacyjnych środkach wyrazu, chociaż z grubszą warstwą podkładu na twarzy. Aktorka, a także ambasadorka własnej marki kosmetyków, prezentowała do aparatu minę pełną refleksji i zadumy. Przy okazji można było zauważyć, że jest w znakomitej kondycji. Przypomnijmy, że TVP Kultura to pierwszy tematyczny kanał Telewizji Polskiej w całości poświęcony kulturze. Został uruchomiony 24 kwietnia 2005 r. jako odpowiedź na rosnące zapotrzebowanie na programy artystyczne i edukacyjne w polskiej telewizji. Od początku istnienia jego misją było promowanie szerokiego spektrum dziedzin kultury – od filmu, teatru i muzyki, po sztuki wizualne i literaturę. **(AK)**

FOT. AKPA



Serial o katastrofie Heweliusza

24 października odbyła się oficjalna premiera serialu Netfliksa „Heweliusz” w reż. Jana Holoubka i na podstawie scenariusza Kasprowa Bajona, podczas której goście obejrzeli dwa pierwsze odcinki serialu. Razem z przedpremierowymi pokazami na Pomorzu - w Filharmonii im. Mieczysława Karłowicza w Szczecinie oraz Centrum Filmowym w Gdyni - serial obejrzało ponad półtora tysiąca osób, w tym przedstawiciele społeczności lokalnych oraz ludzie związani z morzem. Serial ma 5 odcinków. O czym jest „Heweliusz”? 13 stycznia 1993 r. pasażerowie i załoga promu Heweliusz wypływają z portu w Świnoujściu w kierunku Szwecji. Podróż szybko zamienia się w desperacką walkę o przetrwanie, gdy potężny sztorm stawia ich w obliczu brutalnej siły morza. Na lądzie zrozpaczone rodziny zderzają się z mroczną stroną ludzkiej natury i podejmują równie trudną walkę o ujawnienie prawdy o katastrofie oraz zachowanie godności i dobrogo imienia osób zaginionych na morzu. W serialu zobaczymy m.in. Magdalenę Róźczkę. **(AK)**

Horoskop tygodnia

Baran



(21.03-19.04) Ugotuj coś pysznego dla siebie i najbliższej rodziny. Zwróć uwagę na małe przyjemności. Przyda Ci się intensywna energia.

Byk



(20.04-22.05) Otwarcie powiedz, co czujesz. Nie zatajaj niczego. Druga osoba potrzebuje to usłyszeć. Skupiaj się na tym, czego Ci potrzeba.

Bliznięta



(23.05-21.06) W pracy możesz dziś poczuć się wygrany. Sprawy rozwiążą się pomyślnie. Jeśli zaczekasz, unikniesz popełnienia błędu.

Rak



(22.06-22.07) Dużo będzie teraz zależało od Twoich umiejętności i rozmów z innymi osobami. Może warto odrobinę pohamować swoje ambicje.

Lew



(23.07-23.08) Nie trać czasu na zadania, które są niezwykle czasochłonne, a ich efekt marny. Podejmij się czegoś, co przyniesie pozytywny efekt.

Panna



(24.08-22.09) Lepiej się przygotować na konieczność odbycia rozmowy w najbliższych dniach. Może ona mieć duży wpływ na Twoją przyszłość.

Waga



(23.09-22.10) Zapragniesz zrobić coś niezwykłego, co pozwoli zapomnieć o codziennych sprawach. Oczywiście, wszystko w odpowiednich ramach.

Skorpion



(23.10-21.11) Któraś z bliskich osób pomoże Ci załagodzić kłopotliwą sytuację, w jakiej się znalazłeś. Spróbuj odplacić się tą samą monetą.

Strzelec



(22.11-21.12) Czeka Cię generalnie sympatyczny i udany tydzień. Spotykaj się z ludźmi. Okaż im wyrozumiałość i uprzejmość.

Koziorożec



(22.12-19.01) Nie bój się nowatorskich rozwiązań i patrz z optymizmem w przyszłość. Uwaga! Podczas zakupów nie wydaj zbyt dużo.

Wodnik



(20.01-18.02) Nie zabraknie Ci dzisiaj humoru i optymizmu. To dobry znak. Otrzymane wiadomości poprawią humor na cały tydzień.

Ryby



(19.02-20.03) Możesz być lekko niesforny, jednak nie rób niczego na przekór obowiązującym regułom. Zawarte wkrótce znajomości okażą się przydatne.